POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 6-go grudnia 1941r.* **Rok III. Nr. 49**

"Luftwaffe" mija się z prawdą

Jeden z oficerów sztabu głównego lotnictwa Rzeszy Niemieckiej wygłosił odczyt dla attachés lotniczych państw obcych w Berlinie o użyciu lotnictwa w kampanii przeciw Polsce. Odczyt zawiera tyle kłamstw, przemilczeń i przeinaczeń oraz tak jest spreparowany, aby wywołać i wielokrotnie pomnożyć wrażenie całej potęgi lotniczej machiny wojennej Rzeszy, w zestawieniu z siłami nie tylko Polski, lecz również Francji i Wielkiej Brytanii.

Wszystkie te kłamstwa i cały elaborat są—ściśle rzecz biorąc—dość naiwne. Jeżeli mimo to mogły pożądany przez prelegenta skutek wywołać, to tylko dlatego, że wysłuchanie drugiej, polskiej strony było dla audytorium niemożliwe, a sprawdzenie danych, przytoczonych przez prelegenta w owym czasie bardzo trudne. Nawet jednak w tych niezwykle korzystnych dla siebie okolicznościach, nieznany mi z nazwiska oficer sztabu niemieckiej *Luftwaffe* popełnił kilka nieostrożności, które mogły i powinny były zdemaskować jego rzekomo niezachwianą pewność siebie i bezczelną butę, opartą na dowolnym przedstawianiu danych i faktów.

Nie sposób przytaczać tu całego odczytu. Nie sposób też streszczać go w kilku słowach, ponieważ wówczas jaskrawe jego sprzeczności, tonące w powodzi przechwałek i pustych frazesów, wyszłyby zbyt jaskrawo. Dlatego ograniczę się tylko do kilku najważniejszych sprostowań i wniosków; wniosków, które mógłby wysnuć bezstronny, nawet niepoinformowany słuchacz owego propagandowego przemówienia; wniosków, które powinny były nasunąć się attachés lotniczym i zastanowić ich poważnie, co zapewne nie leżało w zamierzeniach prelegenta.

Zaczynam od sprostowań.

Prelegent powiedział, że polskie lotnictwo liczyło w dniu rozpoczęcia działań wojennych około 1.700 samolotów, w czym 700 samolotów bojowych /180 bombowych, 400 myśliwskich, 120 rozpoznawczych/, 200—"do różnego użytku" i 800 szkolnych oraz ćwiczebnych. Samych "Łosi" miało być w linii aż 100!

W rzeczywistości posiadaliśmy zaledwie:

36 "Łosi" /P-37/ i 50 "Karasi" /P-34/, t.j.—86 samolotów bombowych,

140 P-11 i 20 P-7 /typ przestarzały/, t.j.—160 samolotów myśliwskich,

68 "Karasi," 33 "Czapla" i 56 R-XIII, t.j.—157 samolotów rozpoznawczych,

Razem: 403 samoloty, prócz zupełnie bezużytecznych w linii samolotów szkolnych.

Jednak i ta ilość samolotów polskich przy rozpatrywaniu rzeczywistych efektywów musi ulec redukcji: samoloty "Czapla" i R-XIII miały szybkość: "Czapla"—około 180-200 km/godz., R-XIII—160-180 km/godz.; uzbrojenie zaś—jeden k.m. Takie dane techniczne dyskwalifikują samolot w obecnej wojnie, szczególnie w zestawieniu z używanymi do tych samych zadań samolotami niemieckimi o szybkościach ponad 300 km/godz. i uzbrojeniu kilkakroć silniejszym. Jeśli więc odliczyć owych 89 samolotów /33 "Czapla" i 56 R-XIII/, otrzymamy jako całość polskiego lotnictwa bojowego sumę 314 samolotów.

Jakże wyglądała wobec tych nader skromnych polskich lotniczych środków dyspozycyjnych strona niemiecka?

Autor omawianego niemieckiego odczytu utrzymuje, że "z czterech flot powietrznych, jakimi rozporządzało lotnictwo niemieckie, tylko dwie, a mianowicie Nr. 1 i nr. 4 użyte były w Polsce." Tymczasem, według zupełnie pewnych wiadomości zdobytych w czasie akcji przeciwlotniczej po naszej stronie, można stwierdzić, że od dnia 5.IX.1939 dowództwo niemieckie użyło około 440 samolotów z flot powietrznych nr. 2 i nr. 3, a więc—że do ataku lotniczego na Polskę wysłali Niemcy większość swoich sił. W cyfrach sytuacja po obu stronach /do dnia 5.IX./ przedstawiała się następująco:

	Polska	Niemcy
Lotnictwo bombowe	86	1.120
Lotnictwo nurkujące	—	470
Lotnictwo myśliwskie	160	590
Lotnictwo myśliwskie ciężk.	—	210
Lotnictwo rozpoznawcze	68	520
Razem	314	2.910

Stosunek bezwzględny wynosił zatem 1 : 9 na korzyść Niemiec, zaś po nadejściu uzupełnienia dla Niemców w dniu 5.IX. i po odliczeniu prawdopodobnych strat po obu stronach jeszcze się dla nich polepszył.

Straty po obu stronach—co autor odczytu dyskretnie przemilcza—przedstawiały się następująco[1]:

Niemcy		Polska
Samolotów myśliwskich	98	
Samolotów bombowych	323	Ogółem 97 samolotów
Samolotów rozpoznawczych	9	
Razem samolotów	430	

Według posiadanych przez nas danych, straty niemieckie były jednak dużo większe. Można je przyjąć bez żadnej przesady na 750-850 samolotów.

Jak wobec tego wyglądają następujące zdania prelegenta niemieckiego, odnoszące się do wartości personelu polskiego lotnictwa:

"Przewaga pod względem sprawności latania samolotów niemieckich uniemożliwiła prawie zupełnie ataki myśliwców polskich na bombowce niemieckie," oraz—"Podczas gdy samoloty polskie po kilku seriach strzałów spadały w płomieniach, samoloty niemieckie ugodzone sześćdziesięciu i więcej pociskami . . . powracały szczęśliwie do ojczyzny."

Coś tu jest chyba nie w porządku. Bo jeśli nawet samoloty niemieckie "ugodzone sześćdziesięciu pociskami" /przez kogo, u licha?!/ wracały do *Vaterlandu*, to skąd się wzięło tych 430 według niemieckich, a 800 według polskich źródeł—zestrzelonych maszyn?

Wprawdzie w swoim propagandowym odczycie powiedział niemiecki sztabowiec, że artyleria przeciwlotnicza polska liczyła—oprócz 4-cm. działek "Oerlikon"—200 dział ciężkich i 200 lekkich /w rzeczywistości nie posiadaliśmy nawet 200 dział, i to *razem z "Oerlikonami"*/, ale przecież ta artyleria nie zestrzeliła 800 samolotów, t.j. po cztery na każde działo, a po 16 na baterię!

Nawiasowo muszę tu stwierdzić, że istotnie, jeśli idzie o uzbrojenie i szybkość, samoloty niemieckie górowały nad naszymi. Piloci niemieccy wyzyskiwali zresztą tę szybkość tylko w ucieczce, którą ratowali się przed atakami naszych myśliwców. Polacy rzucali się na Niemców w powietrzu, nie zważając na największą nawet ich przewagę i nawet nie mieli możności uciekać. Nie uciekali też, ale prali, ile się tylko dało, nieraz samotrzeć i w pojedynkę—całe dywizjony. Tego niemiecki prelegent o swoich pilotach powiedzieć nie mógł: łgarstwo, któremu uwierzą attachés państw obcych, też ma swoje granice. . . .

Nieco dalej niemiecki informator attachés lotniczych w Berlinie twierdzi, że niemiecka O.P.L. nie dopuściła do żadnego ataku polskiego lotnictwa bombowego, i zaopatruje to twierdzenie takimi uwagami: "Na skutek niedostatecznego wyszkolenia lotników polskich nie mogły być prawie wcale użyte przez nich nowoczesne samoloty PZL-37 /"Łosie"/. Nie było pilotów obeznanych z tymi maszynami. Jest charakterystyczne, że podczas gdy polskie lotnictwo uszło do Rumunii, prawie wszystkie samoloty PZL-37 zostały w Polsce. Natomiast użyto do ucieczki samolotów starych typów, które łatwiej jest pilotować. Nawet i tu doświadczenie wykazuje, że łatwiej jest budować samoloty, niż w tym samym czasie wyszkolić dla nich załogi."

Z tym ostatnim zdaniem trzeba się zgodzić. Właśnie teraz potwierdza je sytuacja *Luftwaffe*: Niemcy mają jeszcze dość samolotów, aby wysyłać równie wielkie jak w ubiegłym roku wyprawy bombowe na Wielką Brytanię, ale . . . brak im załóg, które wyginęły w Rosji i których nie da się zastąpić dość prędko.

Ale z naszymi "Łosiami" było trochę inaczej. Mianowicie obydwa dyony "Łosi" przeleciały do Rumunii wraz z pełnymi załogami. Tylko część samolotów tego typu /rezerwowych—w Łunińcu/ dostała się w ręce bolszewików.

Zaś co do działań polskiego lotnictwa bombowego, to oczywiście można równie dobrze powiedzieć, że potężna O.P.L. niemiecka "unicestwiła" polskie wyprawy bombowe, jak—że zbyt słabe lotnictwo bombowe polskie nie przedsiębrało takich wypraw. Natomiast nie należy przemilczać faktu licznych i skutecznych bombardowań pancernych kolumn niemieckich przez to lotnictwo. Sama tylko polska brygada bombowa przeprowadziła takich bombardowań 33, a jak były skuteczne, świadczy o tym np. meldunek dowódcy 4 Dywizji Pancernej /niemieckiej/ do dowódcy 10 Armii, przejęty przez nas, a podający straty owej dywizji wskutek bombardowania lotniczego na 28% stanu /w personelu i sprzęcie/.

Oto drobna część kłamstw niemieckiej propagandy i jej przemilczeń. Nie wspominam już o takich szczegółach jak n.p. cytowane przez tegoż autora zestrzelenie trzech polskich samolotów myśliwskich /w tym 2 PZL-24, których w ogóle nie mieliśmy!/ przez załogę Dorniera Do-17. O tym urojonym sukcesie zameldował niejaki mjr. Lossberg, dowódca owego Do-17. To kłamstwo wydaje mi się brzydsze, niż propagandowe bujdy sztabowca. Ten ostatni kłamał, żeby zrobić reklamę niemieckiej potędze; von Lossberg—żeby zrobić reklamę sobie.

Muszę tu dodać, że o zestrzeleniu trzech naszych myśliwców przez Do-17 nigdy nie słyszałem. Natomiast z pewnością wiem, że np. dnia 2.IX.1939 po południu 7 samolotów 142 eskadry myśliwskiej stoczyło walkę nad Chełmnem z 29 bombowcami niemieckimi, osłanianymi przez 6 Me-110 i zestrzeliło 7 bombowców i 2 Me-110 z eskadry Richthoffena /w tym dowódcę tej eskadry/—bez żadnych strat własnych. Dnia 4.IX.1939 wieczorem, dyon myśliwski toruński /17 samolotów/ stoczył walkę w rejonie Gniewkowo-Aleksandrów, zestrzeliwując 5 bombowców niemieckich spośród 39 atakowanych.

Takich "na przykład" można napisać cały tom. I to—jeszcze efektowniejszych, bo o walkach pojedyńczych kluczy /3 samoloty/ polskich z całymi wyprawami bombowymi i osłonami myśliwskimi Niemców. Ale—my się nie reklamujemy tak jak *Luftwaffe*, choć wystarczyło by nam powiedzieć prawdę, nie uciekając się do fantazji mjr. Lossberga i jemu podobnych.

A teraz—zapominam na chwilę o wiadomych mi danych co do polskiej strony w kampanii wrześniowej i stawiam się w położeniu jednego z bezstronnych attachés lotniczych w Berlinie. I—po wysłuchaniu odczytu — wysnuwam wnioski.

Po pierwsze—nie mogę uwierzyć, aby lotnictwo polskie /1700 samolotów!/ uległo w tak krótkim czasie Niemcom. Polacy mieli pilotów: Linie Lotnicze "LOT," zwycięstwa w ostatnich Challenge' ach, loty przez Atlantyk . . . To się nie zgadza: albo Niemcy rzucili do walki więcej, niż 3000 samolotów, albo Polacy mieli ich mniej niż 1700.

Po wtóre—prelegent raz mówił o zupełnej dezorganizacji dowodzenia lotnictwem, co pozwoliło na jego zniszczenie zaraz w pierwszych dniach działań wojennych, raz znów o tym, że Polacy zdołali przerzucić swoje samoloty z lotnisk macierzystych na polowe, co pozwoliło na ich ocalenie przed zbombardowaniem w hangarach i na późniejsze użycie.

Po trzecie—prelegent twierdzi, że bombardowanie zdemoralizowało ludność i obrońców Warszawy i Helu . . . Ależ Warszawa /otwarte miasto!/ broniła się do 28 września, a Hel do 2 października. Więc? . . .

Po trzecie, po czwarte, po piąte . . . i t.d. Więc? . . .

Więc to nie wyższość lotnika i żołnierza niemieckiego, nie przewaga ducha, nie większe męstwo zadecydowało o niemieckim zwycięstwie, tylko przewaga, *przygniatająca przewaga liczebna*. Nie *jakość*, tylko *ilość*.

I wreszcie—zdanie zastanawiające: "Państwa zachodnie przystąpiły do wojny w sytuacji analogicznej jak Polska i mają do przezwyciężenia trudności produkcji samolotów, wyszkolenia personelu, udoskonalenia sprzętu. Uwidocznia to olbrzymią potęgę armii niemieckiej, której państwa zachodnie nie potrafią dorównać ani w przeciągu tygodni, ani nawet miesięcy."

Ani w ciągu tygodni, ani nawet miesięcy . . . —oto co niebacznie powiedział autor propagandowego odczytu. Jeżeli nawet wtedy, gdy attachés lotniczy wysłuchali tego zdania /wkrótce po zakończeniu kampanii w Polsce, a przed rozpoczęciem ofensywy na Francję/ mogło ich to nie uderzyć, to teraz muszą pomyśleć, że minęły *dwa lata*! Dwa lata wojny, których nie przewidywano w sztabie *Luftwaffe*, licząc tę wojnę na tygodnie i—co najwyżej—miesiące.

W ciągu tych dwóch lat padło więcej odpowiedzi i sprostowań pod adresem niemieckiej propagandy, niż potwierdzeń jej wywodów. Lotnicy polscy odpowiedzieli może najwyraźniej i sprostowali sztabowe kłamstwa niemieckie najdobitniej: po dzień dzisiejszy nasze dywizjony myśliwskie w W. Brytanii zestrzeliły 406 samolotów niemieckich z pewnością, nie licząc prawdopodobnych i uszkodzonych, których cyfra przekracza napewno 150 maszyn, zaś polskie lotnictwo bombowe dokonało kilkuset wypraw o łącznej ilości 1358 samolotów. I te cyfry, to nie propagandowe bujdy i nie reklama. O tym dobrze wie prelegent z niemieckiego sztabu, a przyjdzie czas, że dowiedzą się i attachés "państw obcych" w Berlinie.

Porucznik Herbert

1/ Lotnictwo niemieckie według źródeł niemieckich. Lotnictwo polskie—według danych posiadanych przez autora niniejszego artykułu.

ROZKAZ Nr 21

Żołnierze,

W dniu dzisiejszym przypada blisko ćwierćwieczna rocznica zjednoczenia Serbów, Chorwatów i Słoweńców w państwo bratniej nam Jugosławii. Rocznicę tę Jugosłowianie obchodzą w cierpieniu i na tułaczce, która i naszym jest udziałem.

Święto Jugosłowian jest naszym świętem, tak samo, jak i przyszłe zwycięstwo nad Niemcami będzie również naszym wspólnym, słowiańskim zwycięstwem.

Razem z Wami szczęśliwy jestem, że chwila święta państwowego Jugosławii łączy się z czynem choć w drobny tylko sposób wykazującym naszą gotowość do współdziałania z bratnim narodem.

W szeregi nasze wstępują na czasowy przydział żołnierze — obywatele Królestwa Jugosławii.

Otoczcie ich miłością i szacunkiem, na jaki zasługują.

Oby dane nam było wspólnie walczyć o wolność Beogradu i Warszawy!

Niech żyje Król Jugosławii Piotr II-gi!

Niech żyje wolna i potężna Jugosławia!

Niech żyją nasi drodzy towarzysze broni—Jugosłowianie!

NACZELNY WÓDZ
(—) SIKORSKI
GENERAŁ BRONI.

M.p. 1 grudnia 1941 r.

Konferencja Quislingów

W Berlinie z wielką pompą odnowiono na dalszych lat pięć pakt antykomiternowski oraz przyjęto do niego szereg nowych członków. Uroczystość przeszła bez większego wrażenia. Walki w Rosji, ofensywa libijska zbyt przykuwają uwagę, by gazety—ograniczone co do papieru—mogły dużo miejsca poświęcić dyplomatycznym igraszkom Quislingów. Mimo to warto się przyjrzeć rezultatom zjazdu berlińskiego, albowiem zarówno z listy obecnych, jak i przede wszystkim z listy nieobecnych da się wyciągnąć szereg pouczających wniosków.

Pakt antykominternowski został podpisany przez Niemcy i Japonię w roku 1936. Rok później przystąpił do niego najstarszy wiekiem i urzędem z Quislingów—Benito Mussolini. Data nie jest bez znaczenia, jest to bowiem data wojny domowej w Hiszpanii. Zawierając pakt, skierowany ostrzem przeciw Rosji, Hitler niejako publicznie wyrzekał się doktryny "Mein Kampfu," nakazującej likwidację Francji przed uderzeniem na Rosję. Pakt ten—formalnie skierowany przeciw komunizmowi, którego się obawiały sfery posiadające zarówno we Francji, jak i w Wielkiej Brytanii—miał być dymną zasłoną, przesłaniającą plany hitlerowskie. Rachunek się zgodził. Hitlerowi i Mussoliniemu pozwolono nie tylko zdławić republikę hiszpańską i dzięki temu zmusić Francję do trzymania i w 1939 i w 1940 roku wielkiej ilości wojsk na granicy hiszpańskiej, ale dopuszczono też do zagrabienia i Austrii i Sudetów. Zrobiono to w tym przekonaniu, że skoro Hitler szykuje pochód na Ukrainę—z tych czasów datują się jego mowy, że Rzesza byłaby szczęśliwa, gdyby mogła rozporządzać polami Ukrainy i bogactwami Uralu—to Zachodowi nic z jego strony nie zagraża.

Pod tym samym płaszczykiem paktu antykominternowskiego Hitler w dalszym ciągu montował swe przymierza. W 1938 roku do paktu przystąpiło Mandżukuo, i jeszcze w 1939, na krótko przed układem Ribbentrop-Mołotow: Węgry i Hiszpania.

Oczywiście po tym układzie o pakcie antykominternowskim było głucho. Teraz jednak, gdy zgodnie z planem po likwidacji Francji Hitler uderzył na Rosję—znów się go wyciągnęło z lamusa, jako dogodne narzędzie dla bliższego związania z Niemcami państw wasalskich. Zjawili się więc w Berlinie, obok dawnych sygnatariuszy, przedstawiciele: Rumunii, Słowacji, Bułgarii, Finlandii, Danii i podpisali przystąpienie do paktu. Z Pekinu zgłosił przystąpienie chiński Quisling, Wang Czing Wei.

To, że Antonescu, którego wojska walczą w Rosji podpisał pakt, czy że podpisał go przedstawiciel króla Borysa albo księdza Tisy mało jest ciekawe. Pewne znaczenie ma podpis fiński. Wiadomo jak usilnie prezydent Roosevelt starał się odciągnąć Finlandię od Niemiec, jak i w Londynie i w Waszyngtonie starano się zrozumieć specjalne położenie Finów i ciągle żywiono nadzieję, że z chwilą, gdy się Finlandii zagwarantuje jej dawne granice, pojmie ona całą potworność swego aliansu z Hitlerem. Podpis położony w Berlinie przekreśla te nadzieje. Finlandia stanowczo i na przyszłość podporządkowała swą politykę niemieckiej. I to zapewne nie pozostanie bez wpływu.

Zupełną niespodzianką był podpis duński. Dania jest okupowana przez wojska niemieckie. Wobec tego jednak, że po niewielkich utarczkach, Dania wejście wojsk niemieckich dobrowolnie zaakceptowała—nie mogła zresztą inaczej uczynić—Niemcy tam jak najmniej wtrącają się do polityki wewnętrznej. Król Chrystian zachowuje się z wielką godnością i opiera się wszelkiej ingerencji. Istnieje więc jeszcze w Danii parlament z większością socjalistyczną, na czele rządu stoi stary socjalista i antyfaszysta Stauning, nie ma praw antyżydowskich, znamionujących wszędzie górowanie wpływów niemieckich. Skądże więc podpis Danii na pakcie, podporządkowującym jej politykę zagraniczną polityce Niemiec?

Jesteśmy prawie hermetycznie odcięci od kontynentu, a zresztą i w Danii prasa musi się liczyć z Gestapo. W strzępach wiadomości, które się przedostają można jednak, zdaje się, znaleźć rozwiązanie tej zagadki.

Gdy Niemcy weszli do Danii, postawili jedno żądanie personalne: zmiany na stanowisku ministra spraw zagranicznych. W ten sposób ministrem został dawny sympatyk nazizmu, p. Scavenius. Otóż wydaje się, że odpowiedzialny za podpis na pakcie jest właśnie p. Scavenius osobiście i wyłącznie. Pewne jest, że nie było uchwały parlamentu i parlament dziś protestuje. Prawie pewne jest, że nie było uchwały rządu, któremu p. Scavenius miał przedstawić ultimatum niemieckie, grożące zlikwidowaniem niepodległości Danii w razie odmowy podpisu. I prawie pewne jest, że król Chrystian był przeciwnikiem tego kroku, albowiem tłumy manifestujące w Kopenhadze przeciw paktowi, pociągnęły potem pod pałac królewski z owacją dla króla. Do paktu nie przystąpiła właściwie Dania, a przystąpił po prostu w swoim osobistym imieniu p. Scavenius.

Nie to jednak ważne, kto pakt podpisał—ważne jest to, kogo w Berlinie nie było. Już od kilku miesięcy propaganda niemiecka była nastawiona na temat: Europa zjednoczona w walce z bolszewizmem oraz Anglia i Ameryka z bolszewizmem sprzymierzone. Zapowiadano głośno, że wobec rozbicia armii rosyjskiej nadeszła już chwila ostatecznego ukonstytuowania tego "nowego porządku," który Hitler przyniósł Europie. Zapowiadano, że w Berlinie zjadą się przedstawiciele *całej* Europy, by uroczyście porządek ten zaakceptować. Takie miało być zebranie berlińskie. Tymczasem cóż nastąpiło?

Z czterech wolnych jeszcze i niepodległych państw europejskich: Szwecji, Szwajcarii, Turcji i Portugalii nikt się w Berlinie nie zjawił. To Europa, która jeszcze może mówić swobodnie odrzuciła plany Hitlerowskie. "Nowy porządek" jaskrawo zbankrutował.

To jest decydujący i najważniejszy moment zebrania berlińskiego, ta nieobecność niepodległych państw. To jest jasna i niedwuznaczna odpowiedź.

Bardziej ciemna natomiast jest sprawa nieobecności szeregu państw, będących pod butem hitlerowskim. Nie myślę tu o Polsce, bo w niej nie było Quislinga. Zresztą polityka hitlerowska wobec Polski jest polityką negacji jej istnienia. Zrozumiałe jest także, że nie było przedstawicieli Holandii i Belgii. Ani w Holandii bowiem, ani w Belgii nie ma w tej chwili rządów. Istnieją jedynie administracje załatwiające sprawy bieżące. Holenderski Quisling, Mussert i belgijscy Quislingowie: de Man i Degrelle nie otrzymali jeszcze z rąk niemieckich inwestytury na rządzenie swymi krajami.

Ale dlaczego obok pana Scaveniusa nie podpisał paktu sam Quisling, który jest formalnie premierem Norwegii? Dlaczego obok reprezentanta mordercy Pawelića nie znalazł się reprezentant serbskiego Quislinga, jenerała Nedića? Dlaczego, jeżeli do paktu pozwolono się przyłączyć przedstawicielowi księdza Tiso, nie zaproszono do paktu prezydenta Hachy? Nie dlatego przecież, by obawiano się odmowy z ich strony. Quisling zresztą w swych pismach wprost skarży się na to, że nie został wezwany do podpisania paktu. Czyżby to miało oznaczać przygotowanie do likwidacji już teraz pozorów samodzielności tych państw i zapowiadało wcielenie ich do Rzeszy, jak wcielona została Polska?

I dlaczego admirałowi Darlanowi odmówiono przyjemności podróży do Berlina dla położenia podpisu? Znowu nie dlatego chyba, by brakło mu chęci. Wszakże marszałek Pétain zgodził się na to, by zwerbowano we Francji legię ochotniczą dla walki na froncie rosyjskim, zgodził się na to, by żołnierze tej legii przysięgali na wierność Hitlerowi. I nie tylko się zgodził, ale jeszcze—do czego nikt go nie mógł zmusić—w przemówieniach i orędziach legię tę sławił, jako rycerzy walczących z śmiertelnym wrogiem Europy. Nie było więc żadnych przeszkód, by pakt antykomunistyczny podpisał. A jednak nie dopuszczono go do tego.

Znowu możemy tu robić jedynie przypuszczenia. Najprawdopodobniejsze wydaje się to, że Hitler nie chce wiązać się wobec Francji, nie chce jej jeszcze uznać za równego partnera. Idą jeszcze targi między Berlinem a Vichy, ciągle jeszcze grozi się Pétainowi, że o ile nie spełni nowych życzeń niemieckich, to całe jego królowanie i panowanie, które zdziecinniałemu starcowi uderzyło do głowy, może się skończyć i Niemcy jawnie obejmą rządy w tak zwanej Francji "nieokupowanej." Niezaproszenie Vichy do Berlina było zapewne memento, że ani granice ani przyszły los Francji nie są jeszcze przesądzone, było dodatkowym szantażem.

Z wielkiej manifestacji europejskiej, z wielkiego symbolu nowego porządku europejskiego kolejka przy podpisywaniu aktu berlińskiego zmalała do drobnej familijnej uroczystości. Nie tylko cel polityczny—przyciągnięcie neutralnych—nie dał się osiągnąć.

Wystrzał propagandowy także spalił na panewce.

Michał Prozor

Odwet świata podziemnego

II.*

PRZEKUPSTWO JAKO SYSTEM

Ludzie bez skrupułów, z zaszarganą reputacją, nie mający nic do stracenia, lgnęli do Hitlera, a on lgnął do nich. Wiedział, że będą najlepszym narzędziem w jego ręku, że nie cofną się przed niczym, że może na nich liczyć dla popełnienia każdego nadużycia, każdej zbrodni.

System narodowo-socjalistyczny, to przede wszystkim system zorganizowanej korupcji. Każdy, kto był przez pewien czas pod okupacją niemiecką stwierdza, że panuje tam przekupstwo bez odpowiedników w historii. Łapownictwo carskie, czy turecki bakszysz to dziecinna zabawka w porównaniu z przekupstwem brunatnych koszul.

Jest to wynik podniesienia korupcji przed laty, u progu rządów hitlerowskich, do godności systemu rządzenia. Natychmiast po dojściu hitlerowców do władzy, rzucone zostało hasło: Hitlerowcy bogaćcie się! Słynne było ówczesne robienie majątków przez dygnitarzy partyjnych, głośne konta bankowe zagranicą. Im kto stał wyżej, tym bogacił się szybciej.

Gdy Hitlerowi robiono wyrzuty, że toleruje taki stan rzeczy, miał —według Rauschninga—odpowiedzieć: "Czy woli kto, by moi szturmowcy rabowali na ulicy? Mogę się o to postarać każdej chwili . . . Mamy prawo myśleć o sobie. Jesteśmy ponad burżuazyjnymi pojęciami o honorze i reputacji." A od siebie dodaje Rauschning te znamienne słowa: "Było to coś bardzo zbliżonego do kontrolowanej, planowej korupcji. Sam Hitler miał coś więcej na myśli. Wiedział, że nic tak nie wiąże ludzi, jak wspólnie popełnione zbrodnie. Stwierdziłem później, że partia, aby upewnić się co do niepewnych członków, zmuszała ich do popełnienia karalnych czynów, tak aby mieć nad nimi pełną kontrolę. Ta sama zasada kierowała podziałem łupu."

Opowiada też Rauschning, znający lepiej, niż ktokolwiek, dżunglę hitlerowską, że każdy wybitny działacz partyjny starał się mieć dokumenty, kompromitujące innych. Obok konta zagranicznego, było to uważane za najlepszą formę zabezpieczenia się. "Zwykłe metody gangsterskie —pisze Rauchning—były używane przez wszystkich bez wyjątku czołowych członków partii dla zabezpieczenia nie tylko własnej przyszłości po upadku reżimu, lecz także obecnej pozycji i życia."

KLUCZ DO ZAGADKI

Zapamiętajmy te słowa: "Zwykłe metody gangsterskie." Gdyby świat miał zawsze w pamięci fakt, iż chodzi tu o ludzi posługujących się czy to w polityce wewnętrznej, czy w polityce zagranicznej, w czasie pokoju, jak i w czasie wojny "zwykłymi metodami gangsterskimi," to byłby sobie zaoszczędził wielu rozczarowań i uniknął wielu niespodzianek. Wprawdzie dziś przywódców hitlerowskich nazywa się często gangsterami, ale w gruncie rzeczy używa się tego określenia raczej w przenośni. Trzeba zaś określenia tego używać jak najbardziej na serio i wyciągać z tego wszystkie konsekwencje. Wówczas nie będzie dla nas zagadek niemieckich!

Dla wielu ludzi, zwłaszcza na zachodzie Europy, czy w Ameryce. jest rzeczą dość trudną wyobrazić sobie, że ma się do czynienia z jakimś super Al Capone. Genialność Adolfa Hitlera polegała przede wszystkim na tym, że wpadł na pomysł zastosowania metod gangsterskich w skali państowej najpierw, a następnie w skali światowej. Niezwykłość tego pomysłu zapewniała mu sukcesy i długotrwałą bezkarność, gdyż świat nie był w stanie zdać sobie sprawy, z czym ma do czynienia.

Gangsterzy amerykańscy — "mali ludzie", choć ongiś rekordziści świata zbrodni—porywali bogatych ludzi, aby wziąć od nich okup, pobierali haracz od przemysłowców i kupców, grożąc im, że jeśli nie zapłacą, ich fabryki czy sklepy pójdą z dymem, rabowali banki, opłacali policję, aby patrzyła przez palce na ich sprawki. Szantaż, *kidnapping*, wymuszenie—oto były ich główne metody, raczej niż "mokra robota", popularna u mniej nowoczesnych bandytów Europy Środkowej . . .

Te sposoby Hitler zastosował na fantastyczną skalę, doprowadzajac je zarazem do doskonałości. Przede wszystkim poco opłacać policję, skoro można samemu być policją, zdobywając władzę w państwie? W Niemczech robotę gangsterską wykonuje przede wszystkim Gestapo, która za pieniądze załatwi wszytko.

A dalej, poco rabować jeden bank, kiedy można obrabować "legalnie" skarb państwa, własnego czy cudzego? Poco uprawiać *"racket"* w stosunku np. do właścicieli pralni czy browarów, kiedy można nałożyć haracz na cały przemysł, obiecując mu wzamian za to spokój—jak to hitlerowcy zrobili z ciężkim przemysłem niemieckim, jeszcze zanim dorwali się do władzy? Albo też nałożyć haracz na całą grupę ludności, np. Żydów?

Niewątpliwie *kidnapping* był rzeczą intratną w Ameryce. Za dziecko milionerów można było wziąć niebylejaki okup. Ale czyż nie jest rzeczą bardziej intratną ściągnąć podstępnie do Berchtesgaden szefa obcego państwa i zmusić go, groźbą wymordowania zapomocą masowych ataków lotniczych tysięcy jego rodaków, do kapitulacji i wydania kraju na łup bandy? Między *kidnapperem*, piszącym list do milionera: "Jeśli do jutra o północy nie złożysz 50.000 dolarów, to twoje dziecko zginie", a Hitlerem, mówiącym do Hachy: "Jeżeli nie podpiszesz, 500 samolotów zamieni Pragę w perzynę", jest zaiste tylko różnica skali!

Gangsterzy i "racketerzy" żyli z tego, że inni ludzie na nich pracowali, oddając w formie haraczu część zysku z uczciwej pracy. Niemcy wolą zmusić miliony by pracowały dla nich jako niewolnicy. Także różnica skali.

WOJNA PO GANGSTERSKU

Technika wojenna Niemiec nosi szczególnie jaskrawe piętno gangsteryzmu.

Przygotowując napaść, gangster stara się przede wszystkim uśpić czujność swej ofiary. Znany jest trick z odurzeniem zapomocą chloroformu. U Hitlera rolę chloroformu odgrywa pakt nieagresji.

Tak samo jak gangster nie zwykł uprzedzać swej ofiary: "Napadnę cię dzisiejszej nocy", tak i Hitler napada niespodziewanie, w nocy, znienacka.

Gangster nie lubi walki, stara się przede wszystkim steroryzować swą ofiarę, mówi: "Jesteś stracony. Nie próbuj wzywać policji —pomoc jest niemożliwa. Jeśli krzykniesz—strzelę. Nie rozglądaj się dokoła—wszystkie wyjścia są obstawione przez moich ludzi. Oddaj kasę, a daruję ci życie." Tak samo postępuje Hitler gdy mówi: "Jesteście okrążeni, pomoc jest niemożliwa. Skapitulujcie, zgódźcie się na okupację, a unikniecie zniszczenia i niepotrzebnego rozlewu krwi".

Do tego samego zakresu metod należą celowe terrorystyczne bombardowania otwartych miast, cała wojna "psychologiczna", polegająca na sterroryzowaniu armii przeciwnika, wykazaniu mu bezcelowości oporu.

Tak jak gangster, Niemiec jest tchórzem. Nie chce równej walki i równych szans. Czuje się pewny tylko wtedy, gdy ma przygniatającą przewagę, gdy przeciwnik jest bezbronny. Strzelać do uchodźców na szosach, do lotnika, który musiał wyskoczyć ze swego samolotu, topić rozbitków na środku oceanu—oto, co najbardziej odpowiada rycerzom z pod znaku swastyki.

Brać zakładników, osłaniać się jako puklerzem uchodźcami, czy jeńcami, przebierać swych spadochroniarzy za zakonnice,—oto dalsze szczegóły tej gangsterskiej techniki.

Tak samo przedstawia się sprawa z całą piątą kolumną. Szajka bandycka przygotowująca napad na jakiś dom, starać się będzie mieć tam swego człowieka, który wskaże drogę, ułatwi wejście. Nie co innego jest zadaniem piątokolumnistów.

Można by jeszcze długo snuć porównania, ale powyższe powinny wystarczyć. Nasuwa się tylko jedna jeszcze uwaga. Nie jest rzeczą przypadku, że Niemcy uczynili tak modną w tej wojnie broń gangsterów: pistolet automatyczny. Ten fakt ma charakter niejako symboliczny.

Aleksander Boray

*Porównaj nr. 48 "Polski Walczącej."

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 21.XI.—30.XI.1941

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 2	Łączna ilość samolotów biorących udział w wyprawach: 38
	Główne cele: Cherbourg, Emden, Hamburg
Razem od czasu przybycia do Anglii do 30.XI.1941	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 406	Łączna ilość samolotów: 1358

Zmarli Leon Berenson i Stanisław Thugutt

Było ich dwóch—ludzi, których spojrzenia nie wytrzymywał, kto chował w sobie jakąkolwiek obłudę. Uszło podczas tej wojny życie z wielu mężów polskich, którzy wśród niepospolitych zalet mieli też prawość niezłomną. Każdy z nich ostatnim tchnieniem jeszcze pozdrawiał wierność ideałom. Ale u nikogo chyba pragnienie rzetelności nie było tak nieuskromione, nie stało się tak wszechwładną pasją, jak u tych dwóch zmarłych niedawno. Taki był też—z duchów, co wcześniej Polskę odbieżeli—Andrzej Strug, też Prawdzie poświęcony błędny rycerz, też słup sumienia w życiu publicznym.

Wiele było różnic pomiędzy adwokatem Leonem Berensonem a statystą Stanisławem Thuguttem. Ale to ich łączyło napewno: gdzie przeszli, tam kłamstwo nie rosło.

Tym szczęśliwszy naród, im więcej w nim ludzi, do których każdy może przymierzać ambicje swoje—z jednego brać miarę męstwa, z drugiego miarę wytrwania, u innego podpatrywać siłę woli, lub tę najrzadszą może z cnót: życzliwość. Thugutt i Berenson, to były latarnie na morzu życia, wskazujące, którędy jechać temu, kto z głową podniesioną i twarzą zwróconą pod wiatr wybrał się po niechwiejną uczciwość, po prawo wbijania się spojrzeniem w samo dno dusz ludzkich.

I.

Leon Berenson był adwokatem. Ale dziwny to był adwokat. Nie znalazłbyś w nim ani jednej, dosłownie ani jednej z cech, czy raczej wad, które pospolicie wiąże się z pojęciem adwokata. Nie było w nim ani obrotności, ani umiejętności podchodzenia bokiem, ani zdolności ciągnienia sukna do siebie. W jego mieszkaniu nie było nic, co by przypominało "kancelarię": pokój za pokojem zapchane staroświecczyzną, meblami rozmaitych stylów, okaleczałymi w wiekowej służbie, ale dostojnymi szlachetnością roboty.

Siedział wśród tych emerytów świetności meblowych Berenson przy małym antycznym biurku-sekretarzu i od niechcenia przeglądał akta, częściej zatopiony w nowość literacką czy naukową. Jego pomocnicy przysiadywali przy jakimś stole rzeźbionym, który był przeznaczony do wszystkiego, tylko nie do pracy dependentów adwokackich. Stosy tygodników literackich i politycznych—tylko nie, uchowaj Boże, prawniczych—zalegały wszędzie. Najnowsze książki obok starych dzieł, pięknie w safian oprawnych. Pełno sztychów, nadłupanych farfurów, spatynowanych sreber i bronzów. A w kątach, w skrzyniach dębowych lub szafach niegdysiejszych strojniś, mieściła się świętość świętości berensonowych: akta procesów politycznych, co narodziły się z rewolucyjnych skurczów roku 1905-go i szóstego.

W tych latach zaczęło się życie obrończe Berensona i Leon Berenson do końca dni swoich żył z głową w chmurach tej wielkiej epoki. Należał do powstałego wówczas Koła Obrońców Politycznych, którego duszą był Stanisław Patek i które w dziejach adwokatury polskiej zapisało jedną z najświetniejszych kart. To nie byli zwykli obrońcy, lecz towarzysze broni swych klijentów, podejmujący z rosyjskim sądem wojennym walkę tak nieszczędną, tak pełną własnego narażania się, że imponowało to trybunałowi złożonemu z oficerów moskiewskich! Montwiłł, Okrzeja, Baron, Kasprzak, Szulman i tylu, tylu innych, których nazwiskami usiana jest legenda bojowców o wyzwolenie ludu polskiego—to byli klijenci Koła Obrońców Politycznych.

A szczególne to, zaiste, były obrony. Zaczynały się zaraz z chwilą, gdy do pewnego mieszkania w Warszawie przy ul. Królewskiej dyskretnie dawano znać, że ktoś się wsypał. Od razu szła w ruch maszyna i niebawem więzień wiedział, że czuwa nad nim i troska się o niego myśl obrończa, że—zaprawiona w procederach podjazdowej walki z władzą carską—gorączkowo szuka sposobów, by mu ulżyć, przekupić kogo trzeba, przemycić co można, ułatwić ucieczkę, jeśli się da.

"Pewnego razu," — opowiadał Berenson—"jeden z nas, Śmiarowski, jechał dorożką do X-go Pawilonu, do więźnia, którego obronę miał sobie powierzoną. Wiózł w kieszeni buteleczkę—małą, ale pełną kultury bakteryj gruźliczych. Chodziło o to, by podczas widzenia z więźniem niepostrzeżenie wsunąć mu ją w rękę. Wpuściłby potem parę kropel do swych plwocin. Stworzyło by się w ten sposób dowód ciężkiego stanu więźnia, i uzyskało podstawę do starania się o przeniesienie go do szpitala, skąd były większe możliwości ucieczki.

"Dorożka podskakiwała na kocich łbach ówczesnej drogi do Cytadeli i w pewnej chwili tak podrzuciła, że Śmiarowski omal nie wypadł. Schwycił się gwałtownie za oparcie i zachował równowagę, ale przy tym nagłym ruchu pękła buteleczka i miliony bakteryj gruźliczych poczęły przeciekać na ciało obrońcy . . ."

Potem przychodziły boje na sali sądowej. Dosłownie do upadłego walczono o każdą ofiarę.

Potem, po wyroku, szły tysiącznymi drogami zabiegi o złagodzenie kary, o ułaskawienie od szubienicy—jazdy, telegramy, wypychania pośredników, mogących wydostać jakąś ważną protekcję, próbowanie wszelkich sposobów uzyskania zwłoki, w czasie której można by coś zaradzić, podsadzić się pod przeszkody jakimś pomysłem, nieraz karkołomnym.

A gdy już nic nie mogło pomóc, obrońca, jak najczulszy przyjaciel, przynosił skazańcowi ostatnie posłania ze świata, list od kogoś drogiego, wiatyk od towarzyszów walki, twardo obiecujących mnożyć pamięć jego ofiary. W pożegnalnym uściśnieniu przelewał na męczennika wszystką miłość serc, co w tych chwilach biły rozpaczliwą udręką.

I długo potem jeszcze, jak mógł, śpieszył z pomocą rodzinie umęczonego.

Takie to były obrony. Opisał je Berenson w prześlicznej książce p.t. "Z sali śmierci," przesuwając przed czytelnikiem obrazy oszczędne w fakturze słownej, pozbawione stylistycznego dramatyzowania, ale przejmujące szczerością odczucia i wstrząsające mocą niefałszowanego nastroju. Zdumiewa przy tym skromność autora. Choć udział jego w opisywanych sprawach był znaczny, Berenson ani razu w książce swej nie mówi wyraźnie o sobie. Gdy przychodzi mu wspomnieć o jakimś własnym czynie lub wrażeniu, pisze: "Młody adwokat z niepokojem oczekiwał i t.d." lub jakoś w tym rodzaju. Niepodobny do wielu autorów, Leon Berenson pisał książkę tylko i jedynie dla sławy tych, których poświęcenie umiłował, nie zamierzał przy sposobności ustawiać siebie samego w świetle pożyczanej chwały. Książka "Z sali śmierci" /i późniejsze, oddzielnie ogłaszane szkice do drugiego tomu tego dzieła/ to nie tylko pomnik pietyzmu wobec bohaterów rewolucji, nie tylko świetne dzieło literackie, ale także wzór moralności autorskiej.

W owych porewolucyjnych czasach, powiedzieliśmy, ukształtowała się wizja obrończa Berensona. Oskarżony, a już zwłaszcza oskarżony w procesie politycznym, ukazywał mu się zawsze w postaci nieszczęśnika — przygniecionego olbrzymią przewagą ścigającej władzy. I Berenson zawsze gotów był do najostrzejszej walki, gdy władza próbowała nadużywać swej przewagi.

Nie tu miejsce na charakteryzowanie sztuki obrończej Berensona. W Anglii, gdzie wszystko, co łączy się z wymiarem sprawiedliwości, budzi w społeczeństwie wielkie zainteresowanie i wielki szacunek, w Anglii adwokat miary Leona Berensona zyskałby obszerną biografię, w której na przykładach jego niezliczonych wystąpień sądowych wyrysowano by postać tego jednego z ostatnich, co tak bronić potrafili. Wymowa Berensona rozciągała się długą skalą od subtelnej ironii i niszczącego dowcipu do rozbrzmień prawdziwie gromowych. A była to wymowa gardząca efekciarstwem i nie pozwalająca porywać się własnemu polotowi. Piękno formy i waga treści były najściślej zestrojone w słowach Berensona.

Trzecim czynnikiem autorytetu Berensona była bezwzględna uczciwość obrończa. Nie wodził nigdy sądu na manowce, nie zabawiał go sztuczną argumentacją. Gdy nie był całkowicie przekonany o niesłuszności oskarżenia, ograniczał się do wskazywania na wątpliwości lub atakował te dowody, które były słabe. Za to, gdy coś twierdził stanowczo, wiadomo było, że za słowami stoi przekonanie jednego z najczujniejszych sumień. To też nie było sędziego, któryby nie odczuwał głębokiego szacunku dla mocy ducha tego entuzjastycznego a przy tym doskonale opanowanego obrońcy.

Należy się biografia Berensonowi—biografia, która odsłoni, jaka głębia duszy i jaka siła charakteru kryła się za wiecznie kpiarską maską Berensona. Biografia—pomnik człowieka, który w obronę ideałów prawa i wolności ludzkiej włożył nie tylko olbrzymi talent i wyczerpującą zdrowie pracę, ale także bezgraniczne, bezkompromisowe uwielbienie tego, co jasne i nieskazitelne.

II.

W przeciwieństwie do Berensona—zawsze rozpogodzonego i gotowego, mimo powagi wewnętrznej niezłomności, do strzelenia każdej chwili kapitalnym dowcipem i spojrzeniem zza przymrużonych szelmowsko powiek—Stanisław Thugutt był człowiekiem surowego wyglądu, ostrego słowa i gestu.

Rąbał prawdę z ramienia, nie bawił się w strojenie mowy w ozdobność, nie nadawał jej powabnej giętkości, niecierpliwie odpychał wszystko, co trąciło uwodzicielstwem. Mowa i pisanie tego polityka i publicysty zbudowane były z samych najtwardszych, ale jakże szlachetnych materiałów—marmuru i stali. Marmuru i stali miały błysk i nieukruszoność.

Zdawało by się, że człowiek tak niedbały o przypodobanie się i łatwo nastawiający się jeżem, powinien posiadać gromadę wrogów. Tymczasem taka była siła moralna Stanisława Thugutta, tak oczywista czystość jego intencji, że nie chowano mu urazy i niewielu ludzi mogło polegać na tylu, co on, przyjaciołach do głębi dusz mu oddanych.

Było olbrzymią szkodą dla rozwoju naszej myśli politycznej, że stłumienie swobód życia publicznego w dziesięcioleciu przed wojną nie pozwoliło Thuguttowi rozwinąć stanowiska, do którego był stworzony: ideologa demokracji polskiej. Demokracje—a zwłaszcza te w młodych państwach powersalskich—obarczyły się grzechem, który odbił się fatalnie na ich losie. Nie doceniły trudności, które rodzą się w obrębie tej właśnie formy organizacyjnej, nie przejęły się zrozumieniem, że mogą dobrze działać wówczas jedynie, gdy do rozwiązywania zagadnień życia państwowego powołają ludzi najwyższej pod każdym względem miary.

Nie ma trudności we władaniu absolutnym. Byle brutal potrafi rządzić batem i przymusem. Ale w demokracji rządzi się perswazją, wychowywaniem ducha obywatelskiego i przestrzeganiem zasad prawa. A to wymaga u rządzących zgoła innych kwalifikacji umysłu i charakteru, niż tych, które wystarczają do wydawania rozkazów. Owóż Thugutt miał w sobie wszystko, by budzić w Polsce świadomość trudu, który demokracja musi podjąć pod groząą zatraty, i by samemu świecić przykładem żywota demokratycznego męża stanu.

Miał po temu przede wszystkim nieugiętość niczym i nigdy niezachwianego charakteru. Wstrętna mu była demagogia, obce sztuki politykierstwa. Znał tylko chody frontowe, nie dbał o zdobywanie popularności. Nie puszył się, gdy był ministrem i wicepremierem, ale też nie zginał się nigdy. Żądał, by inni podnosili się do jego wysokości.

Był przed sześciu czy siedmiu laty wielki zjazd chłopski, urządzany przez Stronnictwo Ludowe /którego Thugutt był członkiem, zasiadając we władzach naczelnych/ w jednym z miast powiatowych województwa warszawskiego. Na łące, co podchodziła pod opłotki podmiejskie, mrowie ludzi ustawiło się zbitym gęsto wachlarzem przed trybuną pod gołym niebem czerwcowym. Szereg mówców już zabierał głos, budząc wybuchy uczuć ze wzburzonych piersi—gdy powstał Thugutt. Zaczął: "Nie będę wam prawił pięknych słów. Mam wam do powiedzenia przykre rzeczy. Chcę wam wskazać w czym błądzicie, czego wam jeszcze nie dostaje w waszej polityce."

I mówił, jak zapowiedział. Nie szły już z tłumu słuchaczów raz po raz, jak poprzednio, hukania; nie wołano ani: precz!, ani: hańba! ani: niech żyje! Mur chłopstwa stał nieruchomo, z oczyma wbitymi w mówcę, urzeczony siłą Prawdy, co przebojem torowała sobie drogę do dusz. Słuchano Thugutta jakoś inaczej, jakoś nabożniej i nawet w grzmocie oklasków, gdy skończył, było—zdawało się—więcej zdumionego wzruszenia, niż hałaśliwości zwykłego poklasku wiecowego. Twardy nauczyciel zmierzył się z twardym ludem i—wygrał.

Thugutt nie miał w sobie następnie śladu doktrynerstwa. Chodził mocno po ziemi i budził czujność na zagadnienia *realne*. Nie prawił kazań, nie rzucał frazesami, które tak łatwo ślina przynosi na język ciurom demokratyzmu. Znał słabości i słabostki współczesnej demokracji i dlatego właśnie, że demokrację uważał za jedyną godną formę życia politycznego, nie chciał, by ślepła na swe niedoskonałości. Zawzięcie tępił nagrywanie starych płyt w propagandzie politycznej. Niestety, dolegliwe choroby, które w ostatnich latach znęcały się nad Thuguttem i przedwcześnie położyły kres jego życiu, nie pozwoliły mu występować dość czynnie na arenie publicznej, a znów niedostatek prasy demokratycznej sprawił, że nie rozwijał działalności publicystycznej na skalę, na jaką go było stać i jakiej Polsce było od niego właśnie potrzeba.

Uczył wreszcie przykładem własnego wzorowego żywota. Dumnym znoszeniem ciasnoty warunków materialnych. Ofiarnością pracy słabo wynagradzanej, ale służącej wielkiemu celowi /był redaktorem pism spółdzielczych i, nawiasem mówiąc, autorem jednej z niewielu *naukowych* książek o spółdzielczości/. I męstwem osobistym, gdy jako człowiek przeszło czterdziestoletni poszedł w r. 1920-ym na ochotnika na wojnę i wrócił z okaleczałą na zawsze prawą ręką.

Realizm Thugutta odbijał się na jego obliczu pisarskim. Za mało jest wiadomo, ale niewątpliwie, gdy po wojnie postać Stanisława Thugutta zyska należne oświetlenie, wiadome się stanie, że Thugutt był jednym z najwspanialszych polskich stylistów. Świetny mówca, był jeszcze świetniejszym pisarzem. Ze zdań jego zwartych, wyskandowanych; z porównań nieoczekiwanych a niesłychanie obrazowych; z toku myśli jasnej i unikającej zakosów w półcienie—z całej postawy rezonerskiej Thugutta biła świeżość i nieodparta siła sugestii. Jak ciął ostrym pługiem słowa, tak z pism jego pachniało tęgością rozoranej ziemi. Określenie np. rządów sanacji jako "drogi na przełaj przez prawo," to typowe obrazowanie thuguttowe—z prosta mistrzowskie.

Pisarskie zdolności Thugutta podnosiła jego wielka wrażliwość. Tym, co znali go zbliska, wiadomy był sekret, z którym Thugutt krył się starannie. Oto ten człowiek, surowy czasem do opryskliwości, miał w głębiach swej rogatej duszy olbrzymie zasoby uczuciowości i dobroci. Tylko ich nie otwierał przed byle kim. Jawnie natomiast kochał przyrodę, bolało go ścięcie któregokolwiek z drzew, co ocalały wśród kamienności Warszawy. Za młodu był jednym z pionierów krajoznawstwa polskiego, autorem doskonałego podręcznika z tej dziedziny.

Poprzedził Berensona i Thugutta w przeprawie na tamten świat człowiek, który był ich wspólnym serdecznym przyjacielem—Eugeniusz Śmiarowski. Jeden z najlepszych mówców sądowych, jakich znała Polska. Schorowane serce dobił ostatecznie wielką mową obrończą w procesie brzeskim. W tym procesie, w którym Berenson przywodził ławie obrońców a Thugutt był druzgocącym oskarżycieli świadkiem.

Siedzą teraz niewątpliwie trzej przyjaciele razem, gdzieś w kącie tego kawała nieba, którego nie zdołano zabrać z nad Polski i z zawziętą miłością patrzą na kraj i ludzi w męce.

Mieczysław Szerer

O NIEZNANYM DNIU I NIEZNANEJ GODZINIE

Obstąpili cię, obskoczyli cię,
Jak psów zgraja głodna, wściekła, zła.
A to było w jakiejś strasznej chwili,
Tam, w Warszawie. Jakiegoś dnia.

Szli brunatni, żelaźni i dzicy,
Z przodu kat, z boku kat, z tyłu kat.
Prowadzili cię środkiem ulicy,
Przyjacielu moich młodych lat.

A tyś szedł, jak przez miasto obce:
Miastem-widmem kroczył człowiek-cień,
Tą ulicą, którą kiedyś, chłopcem,
Biegłeś rano do szkoły co dzień.

A ja chodzę, krążę po Londynie
I myśl dręczy mnie ciężka i zła:
Gdzieżem była w tej straszliwej godzinie?
Com robiła owego dnia?

I na chwilę nie mam spoczynku.
Ludzie mówią: "Zginął po nim ślad. . ."—
Twoja matka mówiła ci "synku",
Przyjacielu moich młodych lat—

Kiedyś wrócę. Będę pytać spojrzeniem
Napotkanych ludzi co krok.
Odpowiedzą mi wielkim milczeniem,
Będą mieli w ziemę wbity wzrok.

Gdy zrozumiem tę niemą nowinę,
Że na młodość padł cień, ciemny cień—
W sercu zamknę Nieznaną Godzinę
I utulę Nieznany Dzień.

Irena Tuwim

O STOSUNKU DOWÓDCY DO WOJSKA

W pierwszym wykładzie* podzieliłem się z Wami szeregiem uwag o zadaniach dowódcy, jego naturze i cechach, o dowódcy jako takim, żeby się tak wyrazić. Teraz chciałbym poruszyć sprawę stosunku dowódcy do podległych mu oficerów i żołnierzy.

Zaczniemy od najbliższych współpracowników generała, sztabu, który jest jego organem dowodzenia. Oto są dwie zasady, których każdy generał powinien ściśle przestrzegać. Po pierwsze: nigdy nie usiłować zajmować się robotą, która nie do niego należy, ale właśnie do jego sztabu. Po drugie, nigdy nie dopuścić, aby fakt istnienia jego najbliższego otoczenia — sztabu — utrudniał mu bezpośredni kontakt z wojskiem.

Dobry oficer sztabowy ceni sobie głównie jasność i dokładność instrukcji, jakie otrzymuje. Potem należy mu pozostawić ich wykonanie bez wtrącania się do szczegółów. Wojsko natomiast i niżsi dowódcy cenią u swego zwierzchnika możność osobistego kontaktu z nim oraz przekonanie, że patrzy on na nich swymi własnymi oczyma, a nie oczyma sztabowców. Im mniej czasu generał spędza w swym sztabie, a im więcej wśród swego wojska—tym lepiej.

Obydwaj generałowie, pod których rozkazami służyłem w ostatniej wojnie, byli pod tym względem idealni. Sądzę, że większość generałów brytyjskich jest wychowana na ich wzór. Znamy wyjątki, jak np. Maude, zdobywca Bagdadu, który całą robotę sztabową skupiał we własnych rękach, lub Murray, poprzednik Allenby'ego w Palestynie, który stracił zupełnie kontakt z wojskiem.

W Niemczech istnieje, a raczej istniał, dosyć szczególny system pracy sztabowej, w którym stosunkowo bardzo poważne decyzje były wydawane, niezależnie od właściwego generała-dowódcy, przez szefa sztabu danej formacji, oficera nieraz niższego rangą. Przypominacie sobie zapewne znaną misję podpułkownika Hentsch[1] podczas bitwy nad Marną.

W kombinacji Hindenburg-Ludendorff ten ostatni był nie tylko szefem sztabu, ale i właściwym kierownikiem operacji, podczas gdy Hindenburg był niewiele więcej, niż nominalnym szefem. Jest to system, który nie może znaleźć zastosowania w armii brytyjskiej.

Rosjanie próbowali naśladować system niemiecki, ale z opłakanym skutkiem. W ostatniej wojnie, jedna z armii była pod dowództwem bardzo miłego staruszka nazwiskiem Iwanow. Miał on bardzo zdolnego szefa sztabu Aleksiejewa. Powstała między nimi różnica zdań kto ma otwierać koperty z instrukcjami Kwatery Głównej i zgodnie z tymi instrukcjami wydawać rozkazy. Sprawę zakończono kompromisowo, każda ważniejsza instrukcja posiadała dwa egzemplarze, jeden szedł do szefa sztabu, drugi do dowódcy armii, poczem każdy z nich postanawiał co innego.

O ile chodzi o stosunki generała z podległymi mu dowódcami, ważną jest dla niego rzeczą znać ich charakter. Którego należy powstrzymywać, a którego raczej dopingować, któremu można powierzyć samodzielne zadanie, a którego lepiej mieć jako wykonawcę tylko. Jedni lubią otrzymywać rozkazy bardzo szczegółowe i dokładne, inni wolą rozkazy ramowe, pozostawiające im więcej swobody w ich wykonaniu. Niejeden z generałów jest znakomitym wykonawcą, jak długo ma bezpośrednio nad sobą wyższego dowódcę, ale skoro tylko pozostaje sam, ma samodzielne zadanie odrazu traci głowę. Ale iluż jest znowu, którzy są wysoce niewygodnymi podkomendnymi i czują się dobrze dopiero po usamodzielnieniu się. Jest zatem wskazane nie wiązać ze sobą dwóch dowódców o charakterach sprzecznych, a ich przełożony musi być dobrym psychologiem.

Jak postępowali pod tym względem Napoleon i Wellington? Napoleon nie bardzo dowierzał swym marszałkom, gdy nie byli bezpośrednio pod jego rozkazami; Davout, Massena i Marmont byli głównymi wyjątkami. Wellington chętnie powierzał Graham'owi samodzielne zadania, ale nie pozostawiał dużo swobody Craufurd'owi, Beresford'owi i Pocton'owi. Craufurd, aczkolwiek zdolny, był zbyt nieostrożny, dwaj pozostali byli za mało wyrobieni.

Rozważmy teraz stosunek generała do wojska, do żołnierza bezpośrednio. Jest to temat olbrzymi i nie sposób go ująć dogmatycznie. Inaczej należy się odnosić do oficera—oficera liniowego, niż do zwykłego szeregowca. Z każdą narodowością trzeba postępować w inny sposób.

—*Mes enfants*—moje dzieci, woła do żołnierza dowódca francuski i wspomni mu o sławie i ojczyźnie.

—Koledzy, oto jak się zwróci do żołnierzy dowódca brytyjski w tych bardzo rzadkich wypadkach, kiedy uzna za stosowne do nich przemówić.

—Towarzysze — taki jest zwrot przyjęty w Rosji Sowieckiej.

—Bracia aryjczycy — oto okrzyk, którym, być może, będzie zachęcać w przyszłości oficer niemiecki.

Ale u wszystkich narodów i w każdej okoliczności pozostaje ta najbardziej ludzka sprawa: co skłania człowieka do szafowania hojnie i śmiało swym życiem i jaka jest rola dowódcy w podtrzymaniu jego ducha? Każdy człowiek jest przywiązany do życia. Co sprawia, że potrafi on śmierci spojrzeć w oczy?

Może to być nadzieja zysku lub sławy, dyscyplina, tradycja, przywiązanie do ojczystego kraju, patriotyzm lub oddanie jednemu człowiekowi. W dzisiejszych czasach chęć zysku lub sławy nie jest wystarczającą podnietą. Odznaczenia i awanse grają pewną rolę, ale nieodpowiednie ich rozdawanie może spowodować wiele rozgoryczenia i krzywdy. Wiara w słuszność bronionej orężnie sprawy jest potężnym czynnikiem, zwłaszcza, gdy wiara ta jest podtrzymywana masową i umiejętną propagandą.

Następujące zdanie wyjęte z pewnej książki, pochodzącej z ostatniej wojny, zawiera poszukiwaną przez nas odpowiedź:

"Człowiek nie cofa się lub nie ucieka w poczuciu, że walczy za niesłuszną sprawę, podobnie nie naciera z tego powodu iż ma przeświadczenie, że racja jest po jego stronie. Cofa się, ponieważ jest słabszy, zdobywa, ponieważ jest silniejszy, lub dlatego, że jego dowódca potrafił stworzyć w nim poczucie siły i przewagi."

Przywiązanie do jednego człowieka, uwielbienie dla niego, było źródłem poświęcenia żołnierskiego w przeszłości. Czy ustroje totalne, państwa totalnie nacjonalistyczne nawrócą do tego źródła?

W armii brytyjskiej podstawą żołnierskiego wychowania i cnót bojowych jest tradycja i dyscyplina. Ramy tego wykładu nie pozwalają mi mówić dłużej na temat dyscypliny, pragnąłbym jednak podkreślić z naciskiem, że w armii narodowej, a wszystkie armie na wypadek wojny, nawet armia brytyjska, będą armiami narodowymi, dyscyplina i wychowanie żołnierskie nie będą i być nie mogą ową tradycyjną, ściśle wojskową dyscypliną. Wiele w tej mierze zmieniło się od czasu, gdy wstąpiłem do wojska, wiele się jeszcze zmieni.

W każdym jednak systemie dyscypliny wojskowej podstawową zasadą musi być sprawiedliwość. Żołnierz chętnie poddaje się najsurowszym nawet przepisom, o ile jest przekonany, że są rozumnie i sprawiedliwie wykonywane. Oto przykład opinii wydanej przez prostego żołnierza o generale Craufurd podczas odwrotu z pod Corunny: "obił dwóch, ale dwustu uratował życie."

Poza utrzymaniem dyscypliny dowódca winien dbać przede wszystkim:

po pierwsze, o osobistą wygodę żołnierza to jest jego pożywienie, zaopatrzenie, odpowiednie kwatery i opiekę lekarską;

po drugie, o oszczędzanie zdrowia i życia żołnierza. Innymi słowy, w walce żołnierz winien mieć zapewnione przez dowódcę maximum szans zwycięstwa przy minimum strat i cierpień. Chodzi zatem właściwie o "armaty i masło" jak to zostało ujęte w pewnym slogan'ie hitlerowskim.

Podczas ostatniej wojny Rosja załamała się z powodu niedostatecznego uzbrojenia, Niemcy poniosły klęskę w znacznej mierze z powodu braku zaopatrzenia w żywność.

Dowódca, który dba o wyżywienie żołnierza i który umie go prowadzić odpowiednio w boju, zawsze cieszyć się będzie jego zaufaniem. Nie zawsze jednak to wystarczy dla zdobycia sobie miłości u żołnierzy. Wellington był niezwykle sumiennym i dbającym o każdy szczegół, był ponadto szczęśliwym generałem, który nie przegrał ani jednej bitwy, nigdy jednak nie był lubiany ani popularny, choć znamy wypadek, gdy jeden z jego oddziałów, znalazłszy się w bardzo trudnej sytuacji z winy swego dowódcy, urządził owację Wellingtonowi, przyjeżdżającemu na zagrożony odcinek. Podobnie Kitchener,[2] który nie dbał zupełnie o popularność, został spontanicznie powitany przez wojsko na polu bitwy pod Atbara.

Marlborough, równie dbały o dobrobyt wojska, co Wellington lub Kitchener był niezwykle popularny i przez swych żołnierzy zwany czule kapralem Johnem. On również był przedmiotem manifestacji urządzonej na jego cześć przez wojsko pod Ramillies.[3]

Ale dowódca może sobie pozwolić na to, aby nie dbać o popularność u swego wojska tak długo, jak długo umie zdobyć sobie jego bezwzględne zaufanie. Generał nie powinien nigdy zabiegać o popularność. Wystarczy, jeśli cieszy się zaufaniem i szacunkiem. Żołnierz ma zawsze prawo spodziewać się, że jego dowódca zna się dobrze na swoim zawodzie, ma również zwyczaj odnosić się podejrzliwie do zbyt uzdolnionych, "genialnych," generałów. Marlborough był może jedynym wielkim dowódcą, u którego geniusz był czymś całkowicie naturalnym.

Nowocześni generałowie są przeważnie mało znani w armiach, którymi dowodzą. Mało kto znał Haig'a[4], który był z natury zamknięty w sobie i czuł się nieswojo w otoczeniu żołnierzy.

Minęły czasy, gdy generałowie w ciężkich chwilach stawali sami na czele swych żołnierzy, jak to uczynił Napoleon na moście w Lodi, lub Lannes[5] /pod Ulm/, i zawoławszy donośnie: "Byłem grenadierem, zanim zostałem marszałkiem," poprowadził osobiście do szturmu.

Z przykładów ostatniej wojny warto zacytować Haig'a, który w decydującym momencie pierwszej bitwy pod Ypres, rzuciwszy w bój ostatnie swoje odwody, kazał sobie podać konia i w otoczeniu sztabu wolno przejechał wzdłuż drogi Menin. Zwykły gest, powiecie zapewne. Był to jednak ten właśnie zwykły gest, który należało w danej chwili uczynić.

Ale nawet bez osobistych gestów bezpośredniego dowodzenia w ogniu, nowoczesny dowódca może nadal mieć ogromny wpływ na morale swego wojska. Najwspanialszym przykładem tego jest odżycie Egipskiego Korpusu Ekspedycyjnego w lecie 1917 po dwukrotnym niepowodzeniu, dzięki wpływowi Allenby'ego. Generałowie brytyjscy na ogół niełatwo imponują Australijczykom. Oto co jednak pisze oficjalny australijski historyk o Allenby'm.

"Allenby nie spoufalał się nigdy w wojsku z nikim. Ale obecność jego w skwarnych, pokrytych kurzem obozach robiła wrażenie dobroczynnego, chłodnego wiatru. Wyskoczył błyskawicznie ze swego samochodu, dłonie kilku oficerów uścisnął, a już jednym rzutem oka cały szwadron zlustrował, nieomylnie zauważył wszystko co było godne pochwały lub nagany i po kilkunastu minutach zniknął, pozostawiając po sobie olbrzymi tuman kurzu. Jego wysoka i masywna sylwetka, ruchliwa twarz, bystre spojrzenie przy pokaźnych rozmiarów nosie, twardy głos, zwięzła, ale jasna wymowa—sprawiały, że wprost promieniowała z niego pewność siebie, siła decyzji, szybkość reakcji i stalowa wola. Niespełna w tydzień po swoim przyjeździe Allenby wyrył swoje osobiste piętno na każdym szeregowcu, bez mała na każdym koniu."

Czy dowódca powinien zwracać się bezpośrednio i ustnie do swych podkomendnych, pojedyńczo czy też zbiorowo? Tylko, jak mi się wydaje, w wypadku skoro wie, że posiada dar przemawiania lub umie się odpowiednio znaleźć w rozmowie. I musi być pod tym względem bardzo pewny siebie. W przeciwnym bowiem wypadku ryzykuje stracić więcej ze swej reputacji, niż gdyby nigdy nic nie mówił. O ile pamiętam Allenby raz jeden tylko przemawiał do wojska i to nie będącego pod jego rozkazami. Oto co Napoleon sądził o wymowie dowódców:

"To nie przemowy przed walką uczynią żołnierza mężniejszym. Weteran ich słuchać nie będzie, a rekrut zapomni o ich treści przy pierwszej salwie. Przemawianie do żołnierzy może być wskazane tylko podczas trwania kampanii, dla zatarcia niemiłego wrażenia, sprostowania fałszywych pogłosek, utrzymania ducha koleżeństwa lub wesołości na biwaku."

Generał, który zwraca się bezpośrednio do żołnierzy ryzykuje, że otrzyma czasami zgoła niespodziewaną odpowiedź. Oto co się przydarzyło Haig'owi, który zazwyczaj nie odzywał się ani słowem podczas przeglądu, a uległ namowom jednego ze swych oficerów, który twierdził, że zamienienie kilku słów z żołnierzami sprawi im przyjemność. Haig zgodził się wreszcie i zapytał się pierwszego z brzegu: "Kiedy rozpoczęliście tę wojnę?" "Ja nie zacząłem tej wojny, sir—brzmiała odpowiedź—to cesarz niemiecki Wilhelm ją rozpoczął."

Wybuchowy charakter i nieopanowanie w słowach, niezawsze przyczynia się do upadku popularności dowódcy /przysłowiowy "zły humor sztabowych oficerów," jak to gdzieś napisano/. Ale sarkazm i ironia są rzadko wybaczane i ich ofiary nie są skłonne o nich zapomnieć. Podczas wojny hiszpańskiej, złośliwy i sarkastyczny język Craufurd'a był znacznie bardziej groźny dla podkomendnych, niż gwałtowne wybuchy gniewu Picton'a.

Czy dowódca winien mieć poczucie humoru? Oczywiście pewne poczucie humoru jest doskonałą rzeczą u każdego człowieka, ale generał nie powinien zbytnio tego okazywać. Zresztą jest to zaleta zdecydowanie rzadko spotykana u generałów. Posiadał ją Allenby, ale była to jedna z jego cech niebezpiecznych. Podobnie i Wellington. Haig natomiast był pozbawiony poczucia humoru. Nie sądzę, aby posiadał je Napoleon. Jedyny wielki dowódca, który był niewątpliwie humorystą to ekscentryczny Suworow.

Żołnierz brytyjski jest natomiast jednym z najlepszych humorystów na świecie. Mało czuła na dowcip i humor rasa, Niemcy, zastanawiając się po Wielkiej Wojnie nad przyczynami nigdy nie załamującej się morale brytyjskiej doszli do wniosku, że jedną z przyczyn jest poczucie humoru głęboko zakorzenione u brytyjskiego żołnierza. Wobec tego postanowili kultywować je u siebie i w podręcznikach wojskowych zalecono starać się o wyrobienie poczucia humoru u żołnierza niemieckiego. . . . Jako przykład, podręcznik podawał karykaturę brytyjskiego żołnierza siedzącego koło muru, w którym granat wyrwał ogromną dziurę. "Kto zrobił tę dziurę?"—pyta się nadchodzący kolega. "Myszy"—pada odpowiedź. Autor podręcznika uważał za konieczne dodać w uwadze "w rzeczywistości dziura została spowodowana eksplozją pocisku."

Pragnąłbym, abyście z tych luźnych uwag wynieśli jedno wrażenie, że wojna jest zjawiskiem nie dającym się ująć w wykresy, formułki i zasady, jest to krwawy business, konflikt nie maszyn, ale ludzi. W czytelni jednej z francuskich szkół wojskowych czytałem następujący napis, umieszczony na ścianie:

"Człowiek jest główną bronią na wojnie. Poznaj żołnierza w boju, on jest bowiem boju rzeczywistą treścią. Poczucie rzeczywistości zdobędziesz studiując przeszłość—ona bowiem wskaże ci jak żołnierz walczyć będzie w przyszłości."

Studiując historię wojen, nie czytajcie dzieł o strategii i teorii, czytajcie historię, pamiętniki. Niewiele wam przyjdzie z tego, że dowiecie się, iż Napoleon wygrał kampanię 1796 zapomocą takiego czy innego manewru. O ile natomiast odkryjecie, jakim sposobem młody i nieznany dowódca potrafił armię wygłodniałą, pozbawioną sprzętu i zaopatrzenia, posiadającą niewielką ilość amunicji porwać za sobą i obudzić w niej ducha ofensywy i zwycięstwa, jak potrafił utrzymać pod swym wpływem i rozkazami szereg starszych i bardziej doświadczonych od niego generałów—wtedy możecie powiedzieć, żeście się czegoś nauczyli.

Napoleon nie doszedł do swego stanowiska tylko przez studia nad strategią, ale przez wspaniałą znajomość natury ludzkiej w odniesieniu do zjawiska wojny. Oto przykład jak znakomitym był Napoleon psychologiem. Kiedy był oficerem artylerii, w czasie oblężenia Tulonu jedną ze swych baterii ustawił na stanowisku, które koledzy ocenili jako niemożliwe do utrzymania. Ich zdaniem żadna obsługa dział nie wytrzyma na tak narażonym stanowisku. Napoleon, podówczas jedynie Bonaparte, kazał przy stanowisku umieścić plakat z napisem "Bateria nie znająca strachu." Stanowisko nie zostało ani razu opuszczone przez obsługę.

A oto kilka rad ogólnych jak się powinien ustosunkowywać dowódca do swych podkomendnych i do żołnierzy. Generał winien utrzymywać stale silną, ale nie ślepą, dyscyplinę. Nie wahać się udzielić pochwały, gdy pochwała jest zasłużona i to zarówno ustnie jak i pisemnie. Winien utrzymywać jak najstaranniej osobisty kontakt z żołnierzem, pokazywać się mu i to w ten sposób, aby uderzyć w wyobraźnię żołnierza, zrobić na nim wrażenie. Do tego służy ceremoniał wojskowy. Nie powinien nigdy używać sarkazmu, jest on bowiem nieraz obraźliwy. Powinien mówić żołnierzowi zawsze prawdę, z wyjątkiem wypadków, kiedy dla zrozumiałych względów należy zachować plany w tajemnicy. Nic bardziej nie oburzało naszych żołnierzy podczas ostatniej wojny, niż komunikaty z których wynikało, że wojsko niemieckie jest zdemoralizowane i bije się źle, podczas gdy nasi wiedzieli, że odwrotnie Niemcy biją się doskonale.

Stosunek dowódcy do żołnierza jest podobny do stosunku jeźdźca do konia. Koń musi być zdyscyplinowany i opanowany przez jeźdźca, zachęcany nawet. Jak to mówi jedno myśliwskie przysłowie "w stajni koniem trzeba się opiekować, jak gdyby był wart 500 funtów, w polu, w jeździe, jak gdyby nie był wart pół korony." Koń wie dobrze przez kogo jest dosiadany, czy jeździec jest dobry czy do niczego, czy jest śmiały czy lękliwy, zdecydowany czy też nieśmiały.

Generałowi może się udać przekonać swoich przełożonych, że jest dobrym dowódcą. Nigdy jednak nie przekona o tym swego wojska, dopóki ono się samo nie przekona, że jest tak w istocie.

Archibald Wavell

przekład Jana Meysztowicza

---

*Por. "O dobrym generale" w nr. 45 "Polski Walczącej."

1/ Jeden z najciekawszych i do dzisiaj niezupełnie wyjaśnionych epizodów Wielkiej Wojny. Podpułkownik Hentsch przywiózł generałowi von Kluck, dowodzącemu jedną z armii niemieckich w 1914 rozkaz, w którego wykonaniu cała ofensywa niemiecka załamała się pod Marną. Historycy niemieccy skłonni są przypisywać misji podpułkownika Hentsch decydujące bezmała znaczenie.

2/ Earl Kitchener, feld-marszałek brytyjski, gubernator Sudanu, zakończył szczęśliwie tak zw. powstanie Mahdi'ego w Sudanie /znane w Polsce z "W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza/. Szef sztabu podczas wojny burskiej, szef wojsk brytyjskich w Egipcie. Zginął w 1916 wraz z zatopionym przez minę niemiecką krążownikiem brytyjskim w drodze z misją do Rosji.

3/ Ramillies, miejscowość w Belgii, zwycięstwo podczas wojny siedmioletniej przeciwko Francji i Austrii.

4/ Sir Douglas Haig, drugi /po marszałku French'u/ naczelny wódz brytyjski podczas Wielkiej Wojny, dzielił wraz z Fochem laury w 1918.

5/ Lannes, marszałek napoleoński, duc de Montebelle poległ w 1809 w kampanii zakończonej zwycięstwem pod Wagram.

Wygrana bitwa



W każdej chwili, przeżywanej przez nas na lądzie w nieświadomości tego, co naprawdę dzieje się na morzach—suną tam w różnych kierunkach prawdziwe miasteczka statków i okrętów wszelakiego kalibru i rodzaju. Dzień za dniem, noc za nocą pracowicie i monotonnie obracają się setki i tysiące śrub, lekko i możliwie najdyskretniej dymią kominy, kołyszą się i przewalają wśród fal kadłuby brzuchate i zgrabne, wielkie i mniejsze, napęczniałe towarami lub przeludnione zbrojnym narodem. Jest ich czasem kilkanaście, częściej kilkadziesiąt, idą zaś szybkością jednakową, gdyż są do siebie mniej więcej dopasowane, jeśli chodzi o siłę maszyn. Powiewają z masztów flagi wszystkich państw sojuszniczych, na każdym statku czuwają dzień i noc wachty. Uważają one zresztą nie tyle na nieprzyjaciela, ile na rozkazy dowódcy eskorty, składającej się z kilku lub często kilkunastu okrętów wojennych, które otaczają swoje morskie stadko niezwykle troskliwą opieką pasterską.

To—konwoje.

Dzięki uprzejmości Kierownictwa Marynarki i przyjaznemu zaproszeniu Dowódcy okrętu z pomostu O.R.P. "Piorun" mogłem obserwować przez półtrzecia tygodnia konwoje, którešmy kolejno przeprowadzali przez poszczególne odcinki Atlantyku, oraz całą procedurę eskortowania, obrony i walki, jeśli zachodziła potrzeba, dziś jednak co raz bardziej rzadka. Bitwa o Atlantyk w oczach moich wygląda na wygraną nie dlatego, że szczęśliwie z podróży sam powróciłem, lecz dlatego, że mogłem stwierdzić dokładne opanowanie zagadnienia, skuteczność stosowanych środków i—co najważniejsze — niewspółmierność małego morskiego arsenału niemieckiego z rozległymi przestrzeniami oceanów i olbrzymią lotniczo-morską organizacją brytyjską.

Statki handlowe i towarzyszące im okręty wojenne spotykają się o ściśle określonej porze: to początek konwoju. Oczywiście chwila wyruszania w drogę jest przez każdą załogę trzymana w ścisłej tajemnicy. Marynarze i podróżni dochowują tej tajemnicy nie tylko zgodnie z instrukcjami, lecz i we własnym najżywotniejszym interesie. Doświadczenia były pouczające.

Dowódca konwoju rozkazuje przy pomocy sygnalizacji flagami lub błyskami świetlnego aparatu Morse'a. Poszczególne jednostki podnoszą sygnały, świadczące, że przyjęły rozkaz. Przy pomocy różnych barwnych flag można nakazać wszystko: i przyjęcie odpowiedniego szyku i zmiany szybkości i wykonywanie zygzaków i alarmy lotnicze lub podwodne i wiele innych czynności. Okręty eskortujące zajmują przepisane miejsca i ustawicznie wymieniają między sobą spostrzeżenia, a przede wszystkim przekazują jeden drugiemu otrzymane rozkazy. Uregulowanie szyku konwoju odbywa się oczywiście w ruchu i trwa bardzo krótko.

Potem przez długi czas niewiele się już zmienia. Dzień po dniu widzi się na prawym trawersie te same dwa "pasażery," za nimi w szyku torowym parowce z charakterystycznymi nadbudówkami, a w drugim rzucie pracowite szeregi transportowców. Dzień po dniu przed nami smaruje nasz przyjaciel kontrtorpedowiec X—a znów za nami lekko dymi następny okręt wojenny eskorty. Daleko, po drugiej stronie płynącego miasteczka, widać naszych innych towarzyszy, są jednak dość daleko i lepiej ich można zobaczyć przez lornetkę. Również za konwojem i przed nim przebijają się przez wielkie oceaniczne fale szybkobieżne okręciki, śmiertelne dla łodzi podwodnych w spotkaniu: torpedowce i korwety.

W środku konwoju idzie czasem groźny krążownik, lub potężny, majestatyczny pancernik, a w wyjątkowych okazjach może być i który z lotniskowców. W tym ostatnim wypadku starty i lądowania samolotów są wielką rozrywką w pracowitym i monotonnym dniu marynarskim.

Po marynarsku nie mówi się nigdy "płyniemy." Należy mówić "idziemy." A więc idziemy bezgłośnie, to znaczy nie nadając przez radio ani żadnych meldunków o naszej pozycji, ani innych wiadomości czy sygnałów. Natomiast bez przerwy jesteśmy czujni i odbieramy sygnały i rozkazy. Odbiór radiowy, jak wiadomo, nie może nikomu zdradzić naszej obecności na tych obszarach. A gdzieś daleko, w Admiralicji, na olbrzymich mapach morskich wyznaczane są bez przerwy ruchy wszystkich statków i okrętów własnych i obcych, w każdej chwili wiadomo, gdzie i co się znajduje. Od czasu do czasu nadlatuje, nawet na środek oceanu zapuszczając się, olbrzymi wodnopłatowiec, który odnajduje nas i inne konwoje i komunikuje poprawki i odchylenia w naszym położeniu, spowodowane prądami, wiatrem, sztormami, lub innymi czynnikami. Z samolotem takim porozumiewamy się sygnalizacją świetlną. Po otrzymaniu naszych wiadomości i po spatrolowaniu morza w okolicach konwoju, odlatuje on w stronę lądu.

O zbliżaniu się takiego gościa z lądu wiemy już zawczasu, gdyż ostatnio ogłoszony wynalazek "*radio-location*," zastosowany jest w marynarce brytyjskiej i pozwala na bardzo dokładne określenie, skąd zbliża się "obce ciało" i jak daleko się znajduje. Dziś nie często już zdarza się, żeby takim "obcym ciałem" był samolot niemiecki. W każdym razie —zawsze jest ogłoszone pogotowie.

Największą sensacją bywa podniesienie na którymś z okrętów sygnału, że ma kontakt z niemieckim okrętem podwodnym. Jeszcze większą emocję budzi inny sygnał, mianowicie — "atakuję."

Jakże wygląda taki atak?

Kontrtorpedowiec, lub, jak w skrócie mówią marynarze—*kt*, czyli "ka-te," gdy już umiejscowi dokładnie nieprzyjaciela, przechodzi szybko nad nim, zrzucając bomby głębinowe. Wybuchają one za okrętem i o sile ich ładunku świadczą wstrząsy, odczuwane na okręcie atakującym. Krótkie i ostre te drgania powodują nawet oderwanie się cząstek sadzy i kopciu w kominach i przewodach i okręt zwykle dymi zaraz po podwodnej eksplozji. Operacja powtarzana jest aż do skutku, czyli do zniknięcia okrętu podwodnego—lub do jego zatopienia. Ataki kierowane są wskazaniami dźwiękowymi aparatu podsłuchowego. Czasem ofiarą bomb głębinowych jest . . . wieloryb, lub podwodny wrak jakiegoś zatopionego statku.

Rekordem polowania na łodzie podwodne było zatopienie trzech jednocześnie w jednym z konwojów, prawie w środku—między statkami, tak że mnóstwo marynarzy i pasażerów mogło widzieć, jak w ciągu niecałej godziny jedna po drugiej—trzy niemieckie okręty podwodne wynurzały się na powierzchnię, szukając ratunku dla załóg—i tonęły pod ogniem działowym.

W razie ataku lotniczego konwój nie rozluźnia szyków, lecz przeciwnie—nieco się ścieśnia, a to dla lepszego ześrodkowania ognia wszystkich karabinów i dział na napastniku. W razie uszkodzenia któregoś ze statków konwój nie zatrzymuje się oczywiście i nie stwarza dla nieprzyjaciela warunków ułatwionych dla następnego ataku. Role wszystkich statków i okrętów konwoju są ściśle podzielone i na każdy wypadek jest z góry przewidziane rozwiązanie.

Najśmielszą akcją konwojową, jaka kiedykolwiek do tego czasu była przeprowadzona, było przełamanie włoskiej zapory lotniczo-morskiej na Morzu Śródziemnym. Przez stosunkowo długi czas Anglicy nie posyłali wielkich konwojów z wojskiem i cennym uzbrojeniem przez Gibraltar do Aleksandrii, obierając dłuższą, lecz daleko bezpieczniejszą drogę dookoła Afryki i przez Morze Czerwone. Jednakże w drugiej połowie lipca 1941 wielki i niezwykle cenny konwój przeszedł przez całą długość Morza Śródziemnego, a więc około Sycylii tudzież Pantelarii, czyli pod nosem włoskich baz lotniczych i morskich. Konwój był atakowany wiele razy z powietrza i przez ścigacze, lecz bez poważniejszych strat i w przepisanym terminie dopłynął do celu, przyprawiając Włochów o spore ofiary. Zginął włoski okręt podwodny, wiele ścigaczy i przynajmniej 15 samolotów. Brytyjczycy utracili torpedowiec.

Marynarze polscy znają już na wylot wszystkie tajniki pracy konwojowej, okręty nasze pełnią tę służbę na równi z brytyjskimi. Podobnie i polskiej bandery handlowej nie braknie w konwojach. Znają polscy marynarze już wszystkie bazy i porty brytyjskie, bywali nieraz przy Islandii i zapuszczali się daleko na południe. Chodzą nie po parę dni, jak na małym Bałtyku, lecz po parę tygodni są w morzu.

Praca jest zwykle bardzo ciężka. Nieprzerwane niepogody atlantyckie, wiele dni trwające sztormy lub na przemian nieprzeniknione mgły utrudniają nie tylko nawigację, lecz nawet przygotowanie pożywienia i wypoczynek. W zimie dzień trwa poza tym tylko cztery godziny—reszta doby przemija w ciemnościach, w wyczerpującej nerwy nieprzerwanej pracy wacht, odpowiedzialnych za nieomylne wykonanie przez okręt jego zadań. Lecz i samo nieustannie trwające kołysanie, połączone z wibracją, udzielającą się okrętowi od obrotu śrub, może przyprawić każdego o przemęczenie. Dlatego na lądzie marynarz już tylko wypoczywa i nie należy się dziwić, że wypoczynek ten jest i musi być pozbawiony trosk dla kolejno zwalnianych na urlopy części załogi.

Humory dopisują jednakże. Na Piorunie, jak i na innych okrętach wychodzi od czasu do czasu numer własnej gazetki p.t. "Tu mówi Piorun." Oto próbka jednego z talentów "piorunskich"; autor pisuje pod pseudonimem "Dębno":

Spokojnie, cicho i czujnie
przestrzeń dzielimy dziobem.
Słońce minęło południe.
Przy stole
zaczęli na dole
siódmy już z rzędu rober.

Łajby stuliły się w środek,
wachta się w słońcu leniwi,
Chłopców wpatrzonych w pogodę
przy działach
słoneczność oblała,
zastygli jakby nieżywi.

Wtem . . .
z dziobu meldują na pomost,
—tuba drży walki przeczuciem—
lewo trzydzieści samolot!

Dzwonki wzruszyły okrętem,
bridge'a przerwano na dole . . .
. . . już nogi dudnią po trapie . . .
. . . coś . . . niespokojne . . .
nieznane . . .
niewymówione słowy . . .
Z pomostu—spokój i siła:

alarm bojowy

Ruch szybki, szybszy od myśli,
serca nadzieją biją,
płoną zapałem głowy.
Chwila się zdaje godziną . . .

. . . działa na kąt kursowy . . .
Myśli się kłębią i piętrzą
w podświadomości alarmach,
. . . aż się rozleje w powietrze
skryta
w wybuchu zachwytach

SALWA

Jest to bardzo interesująca próbą oddania jednego z mnóstwa nastrojów, które są udziałem polskich marynarzy w ich epopei atlantyckiej.

Pobyt na "Piorunie" był dla mnie niezapomniany głównie z tego powodu, że sprawność i techniczna znajomość rzeczy uderzała w całej załodze. Nie wiele już jest—przynajmniej na oko—różnic między starymi marynarzami i narybkiem z Francji a nawet ochotnikami, którzy przyszli ze Szkocji i dzięki pomocy doświadczonych kolegów szybko opanowali swoje role i bardzo sobie pracę na okręcie chwalą. A i na wzajem—dowódcy są z nich zadowoleni. Polska Marynarka Wojenna jest właśnie w okresie wykuwania swej najwspanialszej tradycji. Ci, którzy w tym dziele uczestniczą, słusznie mogą być dumni.

W okresie, w którym lądowe wojska w ślad za Marynarkami posługiwać się zaczynają lądowymi pancernikami i krążownikami, znaczenie naszej siły morskiej staje się chyba oczywiste nawet dla tych, których "wyobraźnie" dotychczas szwankowały. Bitwa o uznanie konieczności silnej Marynarki wojennej jest także wygrana.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

Szkic sytuacyjny

ZMIENNE KOLEJE W LIBII

Działania wojenne w Libii stanowią dla stratega i taktyka nader ciekawy obraz. Już same warunki: walka w jałowej pustyni, starcia przy świetle księżyca —tworzą niezwykłe zaiste tło. Kierunek uderzenia, na początku wcale wyraźnie zarysowany—Anglicy zapuścili niejako dwie mechaniczne kosy, przy czym jedna poszła płyciej, północą a druga głębiej, południem—stał się niebawem dosyć *zawiły*. Czołgi niemieckie i brytyjskie poczęły wpadać na siebie w kurzawie piasku, niejednokrotnie nie można było rozpoznać kto jest wróg, a kto swój. Kwatery zmieniały się, jak w filmie, przesuwano je i zwijano, korespondenci wojenni pism angielskich dostali się najniewinniej do niewoli.

Wszystko to dowiodło raz jeszcze, że *wojna czołgów jest wojną o charakterze wschodnim*, że jej zagony noszą iście *dziki charakter*, że nawet przy najlepszej organizacji nieunikniony jest *zamęt*, że w wojnie tego typu nie ma właściwie frontu i zaplecza, ale że tyły mogą się stać każdej chwili frontem, podczas gdy pewne odcinki frontu mogą pozostać w spokoju.

Pustynia libijska nadawała się, jak mało który teren na świecie, do tego rodzaju *ciuciubabki*, do dziwacznej krzątaniny maszyn większych i mniejszych, o lżejszym i cięższym uzbrojeniu. Wynika wcale jasno, że von Rommel uskładał sobie niezły kapitał maszyn i że polegał głównie na cięższych czołgach o potężniejszym pancerzu, podczas gdy maszyny brytyjskie i amerykańskie posiadały większą szybkość i zwinność w manewrze, ale pancerz ich nie był tak gruby a uzbrojenie bodaj słabsze.

Marsz w Libii był koniecznością: teraz bowiem dopiero widzimy, że von Rommel posiadał siły, którymi mógł—przy dalszym dopływie sprzętu—*przeprowadzić ofensywę*. Akcja zatem brytyjska była uprzedzeniem możliwego ataku, była typową *akcją prewencyjną*.

Oczywiście, krytycy kawiarniani /po angielsku zwie się ich "krytykami fotelowymi": *armchair critics*/ biadają, że wywiad nie rozpoznał dosyć dokładnie sił nieprzyjaciela i że opór von Rommla jest niespodzianką. Musimy jednak zrozumieć, że wywiad z powietrza na olbrzymich przestrzeniach pustkowia jest zadaniem niebywale trudnym. Wyśledzenie czołgów z wysokości tysiąca metrów na tle płowej pustyni to robota napewno niełatwa. Nic więc dziwnego, że wywiad lotniczy nie przyniósł dokładnych danych co do sił nieprzyjaciela.

CO DALEJ?

Sądzić należy, że armie brytyjskie, zasilane stale przez Egipt w wszelaki sprzęt wytrzymają krytyczne chwile, skruszą powoli a metodycznie opór von Rommla, który rzuca się jak źwierz w saku, uprzątną "*wypusty*"/ Anglicy mają na to nazwę kieszeni—*pockets*/ i wyprą wroga znacznie dalej, aniżeli dokonali tego przed rokiem.

Nie będzie to napewno zadanie łatwe, ale morał libijskiego starcia jest mimo wszystko dodatni: dowodzi on naocznie dowództwu brytyjskiemu, że nieprzyjaciel, nawet w obcych dla siebie warunkach, jest twardym orzechem do zgryzienia i że zachowuje się inaczej, aniżeli Włosi w czasie pchnięcia generała Wavella, uderzeni o tyle słabszymi siłami /ilość jeńców włoskich wziętych do niewoli w czasie marszu Wavella dowodziła najlepiej, jakie jest tzw. morale armii włoskiej/.

Anglicy rozumieją po starciu libijskim, że trzeba *jeszcze większych wysiłków*, budować jeszcze lepsze maszyny, opancerzać jeszcze lepiej czołgi, wzmacniać pogotowie lotnicze. Nieprzyjaciel bowiem — a nieprzyjacielem, który naprawdę się liczy w polu są dzisiaj już *tylko Niemcy*, albowiem Włosi zeszli do roli statystów albo okupantów czy milicjantów podbitych krajów —jest twardy, rezolutny, pracuje, nie daje za wygraną, nie popada łatwo w panikę.

Ta lekcja moralna posiada na pewno dużą doniosłość i wagę na przyszłość.

WOKOŁO MOSKWY I ROSTOWA

Sytuacja wokoło Moskwy nosi cechy pewnego odprężenia, co dowodzi, że postępy nieprzyjaciela są *wolne*, że nie zdołał on stworzyć nowej podstawy do wielkiego przełamania, ulubionego niemieckiego "*Durchbruchu*." Moskwa raz jeszcze, po alarmach i obawach, wyprostowała się, broni się, nie dopuszcza myśli o przegranej. Jest to *czynnik moralny* olbrzymiej wagi, który *działa na wojska niemieckie napewno przygnębiająco*. Ogół niemiecki musi z co raz większym niepokojem patrzeć na odwlekanie się triumfalnego wmarszu do Moskwy.

Odbicie Rostowa przez wojska południa dowodzi, że Timoszenko zdołał zreorganizować swoje siły, że nie poprzestaje tylko na obronie, ale że ma zasoby ludzkie i materiałowe, aby stanąć Niemcom do oczu. Manewr pod Rostowem jest napewno ważny, a wiele wskazuje na to, że planowany skok przez cieśninę *z Kerczu na Kaukaz* opóźnia się z racji niedoborów *pogotowia lotniczego*.

MORAŁ LISTOPADOWY

W sumie, listopad należy uznać za miesiąc pozytywny, miesiąc nowego zawodu nadziei niemieckich, dalszego opóźniania się w dojściu tych celów, o których Rzesza marzyła i *wykrwawiania się sił niemieckich*. Straty niemieckie rosną napewno bardzo szybko a na wiosnę suma ta przedstawiać się będzie mocno niewesoło. Rzesza traci młode pokolenie, traci najbardziej fanatycznych żołnierzy, *wytraca swoich janczarów* na polach bitew w Rosji.

Jest to zjawisko korzystne, które mówi, że *naród niemiecki zaczyna czerpać pełną dłonią ze swoich kapitałów żywej siły i że idzie na pewnego rodzaju inflację, jeżeli chodzi o siłę ludzką*. Inflacja nie kończy się nigdy dobrze.

Londyn, 30 listopada 1941.

Zbigniew Grabowski

Wojna na morzu

ROLA MARYNARKI WOJENNEJ W OFENSYWIE LIBIJSKIEJ

Właściwie ofensywa w Libii rozpoczęła się na morzu od chwili, gdy obie strony wznowiły forsowanie Morza Śródziemnego, posyłając niezliczone transporty i wzajemnie sobie przeszkadzając w tej robocie. Druga bitwa pod Taranto, napad włoskich bombowców na olbrzymi konwój brytyjski, w którym to napadzie strącono 13 bombowców włoskich, a H.M.S. "Nelson" dostał mało szkodliwą torpedę, gwałtowna ofensywa podwodna Brytyjczyków i Sprzymierzonych na Morzu Śródziemnym, w której od dnia 20 października do dnia 20 listopada zatonęło 41 statków "osi," załadowanych po brzegi tankami, bronią, ropą i wojskiem, śmierć "Ark Royal" pod Gibraltarem, storpedowanie 2 włoskich krążowników i jednego kontrtorpedowca na centralnym Morzu Śródziemnym i t.d., i t.d.—to jedynie preludium do walki na lądzie, to był (jak pisała "Polska Walcząca") właściwy wstęp do ofensywy.

Obecnie rola brytyjskiej i sprzymierzonej Marynarki Wojennej na tym terenie bynajmniej się nie zmniejszyła. Po pierwsze: olbrzymi wysiłek idzie w tym kierunku, aby ani jeden transport włosko-niemiecki nie mógł obecnie dotrzeć do Libii. Jak donoszą raporty, istotnie flocie sprzymierzonej udaje się to na odcinku właściwych wybrzeży libijskich. Od dnia rozpoczęcia ofensywy aż do dnia, w którym piszę te słowa, ani jeden transport nieprzyjaciela jakoby nie dotarł do Libii. Natomiast wiele statków, ryzykujących przerwanie blokady, zostało zatopionych, a silna eskadra włoska, próbująca "interwencji" dostała po skórze jeszcze jeden raz (23.XI.) . .

Nie dość na tym. Po drugie: działa brytyjskiej Floty Morza Śródziemnego nie milkną dotąd ani na chwilę, bijąc po liniach komunikacyjnych, idących w Libii jak wiadomo, wzdłuż wybrzeża, i rozpraszając koncentracje nieprzyjacielskie na najdogodniejszym dla tego celu rejonie nadbrzeżnym. Atak brytyjski, rozwinięty na północ, w kierunku Sollum i Bardii, szedł pod osłoną dział okrętowych. "Współpraca Marynarki Wojennej, wojska i lotnictwa jest tu znakomita"—pisał korespondent wojenny "New York Tribune" (Rachett)— . . . "Bracia, admirał i generał, pracują tu rzeczywiście . . . jak dwaj bracia."

BIZERTA . . . CZY VICHY ZDRADZI OSTATECZNIE?

Nie wiadomo jednak dokładnie co się dzieje we Francuskiej Afryce Północnej, a zwłaszcza w Tunisie. Porty Sfax i Souss były już poprzednio używane przez Niemców dla wspierania wojsk w Libii. Obecnie, po usunięciu generała Weygand'a, jest bardzo prawdopodobne, że zdziecinniały ze starości i ze strachu Marszałek Pétain i jego czcigodna "prawa ręka" admirał Darlan, zdradzą swych byłych sprzymierzeńców do reszty i oddadzą bazę morską Bizertę w ręce niemieckie. Oznaczałoby to dla "osi" z jednej strony skrócenie drogi morskiej z Europy do Afryki Północnej na najdogodniejszym odcinku, z drugiej strony, nawet po ewentualnej porażce Rommla na granicy egipskiej, możność stworzenia drugiego frontu afrykańskiego z zapleczem Tunisu i doskonałymi bazami morskimi w tych "prowincjach" francuskich. Również nie wiadomo jaką rolę odegrałaby w tym wypadku flota wojenna Vichy. Jest ona w obecnym układzie sił na Morzu Śródziemnym bynajmniej nie do pogardzenia dla Niemców, choćby tylko dla swych około 60 kontrtorpedowców i niemniejszej ilości okrętów podwodnych.

Brytyjczycy i Amerykanie pilnie śledzą rozwój "ustępstw" francuskich wobec Niemiec. Kompletna uległość Vichy wobec żądań Hitlera, może kosztować jeszcze jeden poważny wysiłek oba "napół" sprzymierzone państwa . . . Liczne raporty wskazują jednak na to, że afrykańskie porty Francji na Atlantyku (Casablanka i Dakar) są właściwie już obecnie jakby pod kontrolą Niemców i że "misja wojskowa" gen. Rommla bawiła przez czas dłuższy w Tunisie, prowadząc "prace przygotowawcze."

OKRĘT PODWODNY, KTÓRY ZATOPIŁ "ARK ROYAL"

Radio i gazety brytyjskie doniosły, że na zachodnim Morzu Śródziemnym zniszczono niemiecki okręt podwodny i to prawdopodobnie ten okręt, który zatopił "Ark Royal" . . . Niemcy natychmiast zareagowali na tę wiadomość, podkreślając w paryskim "Paris Soir" (obecnie pod kontrolą niemiecką), że to właśnie nie był okręt, który zatopił "Ark Royal." W tym samym numerze "Paris Soir" wydrukowano opowiadanie dowódcy okrętu, kpt. mar. Reschke, który podobno zatopił sławny brytyjski lotniskowiec.

"O 4 rano—pisze Reschke—wypatrzyliśmy długą linię nieprzyjacielskiego konwoju . . . Po stwierdzeniu kierunku, w którym ten konwój się posuwał, niezwłocznie przystąpiłem do ataku, wybierając lotniskowiec, który szedł pierwszy . . . Po wyrzuceniu torpedy, natychmiast zawróciliśmy i popłynęliśmy pełną szybkością w przeciwnym kierunku. Oddalając się, widzieliśmy ogień i dym na lotniskowcu i słyszeliśmy eksplozję. Brytyjskie kontrtorpedowce nie zdołały nas wyśledzić, gdyż szybkość nasza była dostateczna, aby oddalić się z niebezpiecznego miejsca. Jeszcze w dniu następnym słyszeliśmy daremne wysiłki brytyjskich kontrtorpedowców, rzucających z uporem bomby głębinowe, które jednak nie zrobiły nam żadnej szkody" . . .

Uciecha zbója, któremu udał się strzał zza płotu, a którego policja szuka w mylnym kierunku.

LOS PIRATÓW PODWODNYCH NA ATLANTYKU

Zresztą podobny triumf, jak z "Ark Royal" zdarza się zbójom co raz rzadziej, a sami co raz częściej stają się ofiarami działalności "policji." Admiralicja brytyjska trzyma się zasady, że podaje do publicznej wiadomości tylko fakty bezspornie stwierdzone, gdy uda się wziąć kogoś do niewoli z zatopionego okrętu podwodnego, lub gdy dowody jego zatopienia są w jakiś inny sposób niezbite. Większość jednak piratów ginie w całkowitej ciszy śmierci głębinowej i tylko Niemcy w Vaterlandzie wiedzą, że taki i taki to "U-boot" nie powrócił do bazy. Często też zatopienie niemieckiego okrętu podwodnego jest oficjalnie "przyznane," a nie można tego faktu podawać do wiadomości publicznej ze względu na przeprowadzane operacje.

To też dopiero po wojnie dowiemy się wielu niesłychanie ciekawych i często mrożących krew w żyłach szczegółów z tego polowania na okręty podwodne. Dowiemy się też dopiero po wojnie jaki udział w tym nieustannym polowaniu miały polskie okręty wojenne. Okaże się może wówczas, że z nakazów tajemnicy wojskowej, nasi marynarze często byli krzywdzeni, i to mocno, przez tak zwaną "opinię emigracyjną," która lubi reagować na rzeczy głośne. Jeden mój, zresztą bardzo zacny i sympatyczny znajomy, powiedział nawet pewnego razu: "—Wielkie to rzeczy o które pan tyle szumu robi. W powietrzu to rozumiem, ale na wodzie, cóż to tak wielkiego? Pływają i wracają do portu" (dosłownie) . . . Pan ten nie wiedział i przy naszej rodzimej ignorancji tych spraw nie mógł wiedzieć, że ci chłopcy, którzy "pływają i chwała Bogu wracają do portu" (nie zawsze wszyscy), w każdej sekundzie i w każdej minucie ocierają się na morzu o śmierć.

Większość tych cichych tragedii na morzu, triumfów i klęsk, pozostaje w tajemnicy . . . I znowu udało się korwetom kanadyjskim "Chambley" i "Moose Jaw," które zatopiły wielki, niemiecki okręt podwodny w "widoczny sposób," w miejscu, które Admiralicja uznała za nieważne ze względów strategicznych i taktycznych. I poszedł na cały świat komunikat, że załoga niemieckiego (jeszcze jednego) U-bootu została wzięta do niewoli.

ŚMIERĆ PODWODNA WŚRÓD LODÓW I NOCY

Tymczasem brytyjskie i sprzymierzone okręty podwodne działają przeważnie na Morzu Śródziemnym i na szlaku do Murmańska i Archangielska. Trudny i niebezpieczny to obecnie szlak. Noc zimowa już się tam rozpoczęła i słońce widoczne jest zaledwie na kilkanaście minut. Niebawem zupełnie zniknie. Lody stały się gęste i pełno ich; często są one nie mniej niebezpieczne, niż skały podwodne. W godzinach ciszy płynie się jak przez "lodową kaszę" . . . I na tych wodach trwa walka i nieustanna służba patrolowa nadwodna i podwodna . . . Idą transporty do Rosji, wracają statki z Rosji, a Niemcy nie zaprzestają usiłowań dosłania transportów wojska pod Murmańsk. . . .

Na tych groźnych wodach 2 brytyjskie okręty podwodne: H.M.S. "Tigris" (1090 tonn, 53 ludzi załogi, jedno działo 4 calowe, 2 działa mniejsze, 10 wyrzutni torpedowych) oraz "Trident" (1095 tonn) zatopiły w tym tygodniu (21.XI.—30.XI.), 8 transportowców niemieckich gdy już prawie docierały do celu. H.M.S. "Tigris" zatopił 5 statków, a szósty poważnie uszkodził torpedą (prawdopodobnie i ten szósty następnie zatonął). H.M.S. "Trident" zaatakował konwój 7 statków, idących pod silną eskortą. 3 z nich zatonęły natychmiast, 4 następne zostały tak poważnie uszkodzone, że ich zguba jest więcej niż prawdopodobna. Ósmy statek został zaatakowany ogniem działowym. Jest pewne, że 2 z zatopionych statków były po brzegi załadowane transportem wojska niemieckiego.

JAPONIA

Wygląda na to, że rokowania prowadzone w Ameryce przez "specjalnego wysłannika Mikada" pana Kurusu, nie tyle utknęły na martwym punkcie, co po prostu zostały zerwane. Urlopy w Singapore zostały zawieszone. Flota brytyjska na Pacyfiku stoi pod parą . . . ale w prasie amerykańskiej zaczęły się ukazywać wiadomości, że prawdopodobnie uderzenie Japonii ograniczy się do zaatakowania Drogi Burmańskiej, co będzie częścią wojny chińskiej. Nie wiadomo wówczas, czy Stany Zjednoczone wystąpią, czy też ograniczą się tylko do . . . ścisłej blokady Japonii . . . Sądzę, że dopóki "policja" nie domyśli się, że bandytów należy bić i to skutecznie w ich własnej norze, a czekanie aż zbóje uderzą na ofiarę jest już połową niepowodzenia, dopóty nie będzie pokoju na świecie, a my musimy przygotować się na wiele jeszcze nienajprzyjemniejszych niespodzianek.

PRASA BRYTYJSKA O NASZEJ MARYNARCE WOJENNEJ

Ciekawe, że prowincjonalna prasa brytyjska znacznie więcej interesuje się polską marynarką, niż stołeczna prasa Londynu, w którym to mieście znajdują się nasze komórki propagandowe. Wygląda na to, że zainteresowanie to jest zupełnie samorzutne i jest skutkiem kontaktów bezpośrednich naszych marynarzy z dziennikarzami, przypadkowych a jednak porywających dla angielskich ludzi pióra, którzy, zdawało by się, są "otrzaskani" ze sprawami morza. Prawdopodobnie jednak dla tego właśnie, że są "otrzaskani" rozumieją lepiej romantyczność naszych chłopców i ich piękną postawę w "pracy," niż nasi rodzimi, emigracyjni pisarze.

Ostatnio ukazały się większe artykuły w następujących brytyjskich pismach prowincjonalnych: "*Shields Evening News*" (*Polish Navy is Maintaining Traditions*); "*Lipton Herald*" (*Polish Navy's Brilliant Record*); "*Falkirk Herald*" (*With the Polish Navy*), *Essex County Telegraph*" (*Drama Behind the Code Word "Peking" —Polish Navy*); "*The Leader*" (*These Poles are Killers*), a w londyńskim niedzielnym "The People" kpt. Frank Shaw we wspomnieniach z konwoju daje bardzo barwną i obszerną charakterystykę i historię jednego z naszych kontrtorpedowców (w artykule: *Uncle Sam Gave us these Ships*).

Uznanie i niekłamana sympatia, które biją ze wszystkich tych artykułów oraz z częstych wzmianek, będzie obok szacunku i uznania, które zdobyli sobie nasi dzielni lotnicy, fundamentem naszej przyszłej przyjaźni z wielkim narodem brytyjskim i na innych polach. Naród morza rozumie przede wszystkim dzielność i "krwawą pracę" na morzu, rozumie, jak nikt na świecie nie potrafi zrozumieć. Sądzę, że dobrze się przysłuży sprawie polskiej każdy, kto się przyczynia do pogłębienia wiadomości Anglików i Szkotów o polskim czynie na morzu, o walkach Polskiej Marynarki Wojennej i o pracy Polskiej Marynarki Handlowej . . . Zamiast nazbyt często ukazywać naszym Sprzymierzeńcom nasz słuszny ból i żałobę z powodu tego, co się dzieje w Kraju, dobrze będzie, jeśli z większą dokładnością informować będziemy o tym, co Polacy robią na morzu, w powietrzu, a teraz . . . pod Tobrukiem i w Rosji. Morski czyn zaś zawsze jest rozumiany lepiej w Wielkiej Brytanii, niż gdziekolwiek indziej.

Londyn, 30.XI.1941 r.

Bohdan Pawłowicz

Bez black-outu

Nie wytrzymałem. Odezwała się we mnie pamiętna z dzieciństwa tradycja nasza: wczoraj napisałem list otwarty do świętego Mikołaja i włożyłem wieczorem za pojedyńcze, cienkie, szkockie okno (okno bez black-outu). Kopię listu zachowałem lojalnie dla moich Czytelników. Oto ona:

WB.41.P.50.Lp.5.XII.1941.
Święty Mikołaj
G. P. O. Niebo
według rozdzielnika.

Wielce Czcigodny Święty Mikołaju.

Prosimy posłusznie, byś w tym roku do nas nie przychodził. A jeżeli koniecznie chcesz wstąpić do Szkocji, to przyjdź z pustym koszem. My ten kosz powinniśmy umieć wypełnić. My jedni z nielicznych Polaków na świecie, którym los pozwolił normalnie jadać śniadanie, obiad i kolację. My mamy codziennie biały chleb, my meldujemy pozytywnie angielski ser i przeróżne "jamy." Ba— mamy nawet czekoladę i w kantynach żołnierskich keksów i ciastek do wyboru.

To jest prawda święty Mikołaju, szczera prawda. My mamy ciepłą bieliznę, mamy koce, sypiamy w ogrzewanych izbach. My chodzimy czyści, syci i . . . napojeni— czasem nawet za wiele. Nie przynoś więc nam niczego święty Mikołaju, nie przynoś nic, krom pustego kosza, gdy wstąpisz w tym roku do Szkocji. Wypełnimy Twój kosz, jestem pewny, że wypełnimy po brzegi.

Poślij równocześnie swego Aniołka do U.S.A.—niech wzruszy tamtejszą Polonię, niech ją przynagli, niech opowie o wielkiej potrzebie Polaków w Rosji, niech krzyczy, niech uderzy w dzwon—tak, by się przebudzili ci, którzy jeszcze tam śpią błogim, sytym, samolubnym snem. Niech nie uchwalają, niech nie obradują, niech posyłają już, zaraz—natychmiast.

My polscy żołnierze z tej brytyjskiej wyspy udowodnimy Ci Święty Mikołaju, że jesteśmy walczącą Polską, żywą Polską, że dwa lata wygnania i tułaczki nie przerobiły nas w powolnie myślący, w miarę rozważny, ponad miarę najedzony twór zwany Polonią wyspiarską. Nie, postokroć nie. Jesteśmy żywi, czujemy razem z Krajem, łączymy się myślą i sercem z Polakami w Kujbyszewach, Buzułukach — na olbrzymich przestrzeniach Z.S.R.R. Przynieś tylko kosz wielki Czcigodny, Święty Mikołaju, a zobaczysz.

Pobieramy żołd, jakiego nigdy i nigdzie żołnierz polski nie pobierał. Jedni z tego żołdu posyłają paczki dla jeńców-kolegów przez Czerwony Krzyż. Ci napewno potrafią oszczędzić jeszcze kilka szylingów i dorzucić do tego kosza świątecznego ciepłe rękawiczki albo sweterek dla jakiegoś zmarzniętego dziecka polskiego w dalekiej Rosji.

Są jednak między nami i tacy, którzy "nie wierzą w paczki" /"Panie, napewno nie dojdzie."/ Są inni, którzy nie wierzą w ogóle w żadne zbiórki: "Kto to doręczy, pogubią po drodze. Panie kochany, czy ja nie wiem, jak to się odbywa? . . . Po drodze powybierają co łepsze. . ." I tak dalej i tak dalej.

Ci krytyczni" usypiacze sumienia" chcą mieć spokój duszy własnej w chwili, gdy przepijają żołd tygodniowy w pierwszym lepszym barze szkockim lub w momencie "bluffu" w partii epidemicznego już dzisiaj pokera. Dla tych, Święty Mikołaju, przynieś wielkie, mocne . . . rózgi. Uderzymy ich w odpowiednie miejsce, tak, aby sumienie się w nich odezwało, żeby poczuli się Polakami, żeby we własnym interesie zrozumieli, iż będziemy kiedyś musieli się tłumaczyć z tych dni i miesięcy sytych i ciepłych, a w szczególności z tych nocy spokojnie . . . przepitych i przepokerowanych.

Przynieś kosz Święty Mikołaju, pusty kosz, a my wypełnimy go szczodrze i serdecznie. Nie pójdziemy przez tydzień na "pictures" lub nie wypijemy przez tydzień whisky, nie zjemy w kantynie dwóch ciastek wieczorem, nie kupimy znajomej Szkotce "souveniru" na "Christmas," lecz powiemy jej szczerze i otwarcie, że mamy pierwszy i wielki obowiązek wobec braci naszych głodnych i zziębniętych. Ona zrozumie to napewno i jeszcze pomoże w urządzeniu zbiórki, która już do tej pory w kilku miejscach postoju wojska polskiego w Szkocji spotkała się z entuzjastycznym poparciem serdecznych naszych gospodarzy. Dawali futra i buty, znosili nowe suknie i stosy ciepłej bielizny. Więc . . . "sweetheart" zrozumie napewno.

Wierzymy, że ten Mikołajowy kosz, zapełniony przez nas dojdzie napewno do Rosji w okresie świątecznym. Tym, którzy wątpić będą odpowiemy, że akcję prowadzi na terenie Wielkiej Brytanii grono ludzi godnych zaufania, że na terenie Rosji podziału pomiędzy żołnierzy polskich i najbardziej potrzebujące rodziny dokona dowódca Wojska Polskiego w Z.S.R.R. w porozumieniu z ambasadorem Rzeczypospolitej.

Powiemy każdemu, kto się ociągać będzie z groszem, żeby dał własny scyzoryk, zeszyt, mydło, co ma pod ręką praktycznego i do kosza święty Mikołaju, do Twego kosza dla Polaków w Rosji. Zawodowego defetystę i krytyka zapytamy, czy wie o tym, że tam, dokąd nasz kosz Mikołajowy zdąża, pióro jest rzadkością, zeszytu dostać nie można, a takie rzeczy jak: pasta, ołówek, mydło, szczotka, sznurowadło są witane okrzykiem zachwytu.

Smutnemu, tęskniącemu koledze, który będzie mówił rozgoryczony: "Że ma rodzinę w Kraju i nie może jej pomóc, więc jakże może się przejmować obcymi?"— powiemy, żeby pomógł nieznanej matce w Kujbyszewie, jak swojej własnej, żeby posłał drobiazg pożyteczny obcemu bratu w Buzułuku, jak rodzonemu w Kraju.

Zapowiadamy Święty Mikołaju, że w okresie przedświątecznym będziemy pilnie obserwować wszelki egoizm, wszelką rozrzutność. Będziemy po obywatelsku leczyć . . . rózgą przez plecy.

Przed kilkoma dniami, Święty Mikołaju, przyszedł list z Rosji. W liście tym czytałem takie wstrząsające słowa—"Przez dwa lata nie mogliśmy nic robić dla Kraju, podczas gdy wy . . . Tę krzywdę musicie dziś pomóc nam wyrównać. Pamiętajcie, że jesteśmy wyczerpani do ostatnich granic, że jest nam ciągle okropnie zimno, że nie mamy czym ćwiczyć. My wierzymy, że się staracie, bo my wam w ogóle wierzymy, ale może możecie się jeszcze bardziej starać. Idzie zima i bodaj, jak to pokazują znaki na niebie, zima 1812 roku. Pamiętajcie o naszych dzieciach. Gdybyście widzieli te chude rączyny, wyciągające się do czekolady i mączki Nestla, którą przysłaliście ostatnio, w jakże znikomej ilości! Przysyłajcie! Krzyczcie o pomoc!"

Święty Mikołaju. Jestem pewny, że po tym liście z Rosji nie przyniesiesz nam niczego, lecz wstąpisz jedynie tylko po to, byśmy Twój kosz wyposażyli. Jestem pewny, że po tym liście z Rosji, będzie więcej ciastek niezjedzonych w kantynach żołnierskich, a więcej czekolad w koszu, który my żołnierze wspólnie wyślemy do Rosji.

Czy wszyscy dobrze widzicie? Do tych czekolad wyciągają się chude rączyny dzieci polskich w Rosji! Na naszą pomoc czekają koledzy wyczerpani niewolą i zziębnięci.

Jestem pewny Święty Mikołaju, że udowodnimy raz jeszcze, iż mimo wszelkich przywar wrodzonych i nabytych, jesteśmy na tej wyspie Polską czującą, a zasięgiem swego serca obejmującą wszystkich braci, rozsianych po szerokim świecie, dziś w niedostatku okrutnym i nędzy.

Wiktor Budzyński

Z życia obozów

Pociąg pancerny na patrolu

Pociąg pancerny, gotowy do odbycia normalnej jazdy patrolowej, stoi na stacji pod parą. Usmoleni palacze i maszynista—jedyni Brytyjczycy przydzieleni do obsługi pociągu — oczekują sygnału wyruszenia. Nadbiega polska załoga szybko i sprawnie zajmując wyznaczone miejsca. Widoczne jest zgranie zespołu, które wytworzyły długie miesiące wspólnej pracy. Oficerowie pełniący, podobnie jak w brygadach kadrowych, obowiązki szeregowych, mają na *battle-dressach* skórzane lajbiki oraz płaszcze przeciwiperytowe, niektórzy, ostrożniejsi, zabrali również płaszcze sukienne, gdyż chłód poranny jest wcale dotkliwy, mimo, że to dopiero początek września.

Okryta pancerzem lokomotywa niecierpliwi się widocznie i wypuszcza co raz gęstsze kłęby czarnego dymu, tymczasem dowódca sprawdziwszy łączność w wozie, zawierającym radiostację, i porozumiawszy się z całością załogi daje znak do odjazdu.

Jedziemy. Sprawozdawcy, umieszczeni na "honorowym miejscu" w przednim wozie, co zmniejsza wybitnie niebezpieczeństwo okopcenia, przeprowadzają małą wizję lokalną.

Daleko poza nami pozostała już stacja wyjazdowa, pociąg mknie co raz szybciej, obsypywany iskrami ciężko pracującego parowozu. Szkocka równina przechodzi w lesiste wzgórza, a wzmagający się chłód świadczy, że zbliżamy się już do górskich regionów. Po godzinie jazdy wypada pierwszy postój na małej stacyjce.

Po krótkiej przerwie znowu wytacza się ze stacji pociąg pancerny. Zaraz za stacją obserwujemy jak załoga naszego wozu okrywa się szczelnie płaszczami, sadowiąc się na podłodze. Zbliżamy się do wielkiego tunelu a bez tych zabezpieczeń każdy zamieniłby się nieuchronnie w murzyna. Długą chwilę jedziemy w zupełnych ciemnościach i dopiero na świeżym powietrzu otrząsamy się z pyłu węglowego.

Tymczasem pociąg wjeżdża już w góry. Przy dobrej pogodzie oglądać tu można piękny krajobraz, dzisiaj jednak mgła przeszkadza obserwacji. Po upływie dalszej godziny nowy postój, tym razem nieco dłuższy.

Motocykliści otrzymują zadanie spatrolowania wąwozu górskiego, którego dnem biegnie tor kolejowy. W takich miejscach, jak informuje załoga—potrzebny jest szczególnie uważny wywiad, gdyż pole obstrzału jest znacznie zmiejszone, obserwacja również utrudniona, a nieprzyjaciel łatwo urządzić może zasadzkę. Zwłaszcza spadochroniarze mogą mieć duże szanse niezauważonego lądowania. Najlepiej zadanie ubezpieczenia na samej osi jazdy wykonać może opancerzona drezyna, wyposażona w broń maszynową.

—"W październiku ubiegłego roku, kiedy obejmowaliśmy służbę na tym odcinku, pociąg nasz niebardzo groźnie wyglądał—mówi celowniczy *Brenn-gunu*. Pancerza, prawdę mówiąc, nie było, zastępowały go worki z piaskiem. Mizerna ta osłona zabierała w dodatku tyle wolnego miejsca, że obsługa tłoczyła się w wozie, jak śledzie w beczce. Później dopiero nastąpiły zasadnicze zmiany, ulepszenia i to przezbrojenie odbywa się jeszcze w dalszym ciągu. Jest ono wynikiem doceniania usług, które w obronie linii kolejowej, stacji węzłowych oddać może pociąg pancerny."

Z kolei rzucamy pytanie, jak wygląda porównanie pociągów pancernych w Polsce z takimi samymi jednostkami w Wielkiej Brytanii. Okazuje się, że u nas pociąg pancerny miał większe zadania taktyczne, nieco silniejsze uzbrojenie, a własna kompania wypadowa piechoty pozwalała na wykonanie zadań specjalnych. Wobec stosunkowo słabej rozbudowy linii kolejowych w niektórych dzielnicach Polski, dużych odległości pomiędzy stacjami, pociąg pancerny musiał być bardziej samodzielny. W Anglii natomiast czy w Szkocji, sieć kolejowa jest bardzo gęsta, a odległości między stacjami znacznie mniejsze, co zwiększa możność uzyskania pomocy technicznej w razie potrzeby. Niezależnie jednak od tego, pociag pancerny posiada materiały i ludzi do wykonania niezbędnych napraw przy uszkodzeniu toru lub samego pociągu.

Reporterskie rozmowy urywają się, wjeżdżamy bowiem na teren górski, docierając do samego serca szkockiego "*highlandu*." Nisko sunące zwały chmur przewalają się po niebie, chwilami rozjaśnia się nieco, nawet słońce usiłuje się wydostać z burej osłony, ale ostatecznie mgła zwycięża. Pociąg posuwa się teraz wolno brzegiem zbocza, usianego olbrzymimi zwaliskami głazów, które stoczyły się z gór; w dole prześwituje przez mgły senna tafla jeziora.

Nowy postój na stacji, wymiana meldunków, sprawdzanie łączności, poczem załoga pociągu schodzi na pusty peron dworcowy, witając się z szkockimi kolejarzami, których nasi oficerowie znają doskonale na całej trasie. Padają sakramentalne uwagi o pogodzie, która dla naszych jest tylko "*pretty good*," podczas gdy tubylcy mówią o niej z respektem "*very nice*," poczem pogawędka schodzi na zagadnienia wojenne i temat: "*What do you think about Russia?*" dominuje już aż do końca postoju.

Jedziemy dalej. Teraz na odmianę staczamy się w dół w ostrym, choć pracą hamulców miarkowanym tempie. Znikają rzadkie osiedla ludzkie, otacza nas całkowicie górskie pustkowie. Widoki są teraz przepiękne, choć zamglone, a i chłód mimo zbliżającego się południa nie ustępuje. Czasu zimy nie bardzo miła być musi jazda w otwartym wozie pancernym i teraz dopiero rozumiemy zadowolenie, z jakim załoga mówiła o takiej skromnej inowacji jak osłonięcie pancerza deskami od wewnątrz.

Wjeżdżamy na ostatni odcinek wyznaczony do spatrolowania. Załoga rozgadała się i rozśpiewała, padają dowcipy, opowiadania z czasów dawnych, uciążliwych patroli i ćwiczeń. Dzisiejszy wyjazd to miła "wycieczka krajoznawcza" w porównaniu z innymi, kiedy to 10 lub 12 godzin trzeba było moknąć na deszczu lub dzwonić zębami na mrozie, wybijając hołubce dla rozgrzania nóg.

Odcinek trasy leżący "w zasięgu" pociągu pancernego, należy do najdłuższych w Wielkiej Brytanii i ciągnie się od morza aż do środka gór. Na tej trasie patrolowanej od roku blisko, zna polska załoga oficerska każde wzniesienie, każdą kotlinkę czy lasek. W ciężkiej, żmudnej pracy zdobyła nie tylko znajomość terenu, ale i wielkie zgranie wewnętrzne, nieoceniony czynnik w akcji bojowej, na którą czekamy wszyscy. W tej akcji nie będzie ostatni i pociąg pancerny, o którym jeden z członków załogi, autor "Rytmu kroków żołnierskich" tak pisze:

"Złowrogo zgrzyta, lufami dział błyska—
Zdarta hamulców kleszczami, zła bryła . . .
Tunele. Mosty. Stacje. Uroczyska.
Na przód! Wciąż na przód! Na złość śmierci siłom,
Cuchnących jadem. Choć sprzęgły się z czartem,
Choć pełzną ku nam z odmętów i straszą.
Wciąż na przód! W bramy przez piekło zawarte
Stalą pocisku! A w nim serca nasze.

Ludwik Bojczuk

Jugosłowianie w naszych szeregach





Przed paru dniami grupa obywateli Jugosławii Walczącej jak my, na obcej ziemi gościnnej o wspólną sprawę, przybyła do jednego z polskich obozów w Szkocji, aby razem z nami przejść przeszkolenie wojskowe. /Fotografia u góry: przywitanie na dworcu, u dołu: marsz do obozu pod komendą polskiego i jugosłowiańskiego oficera/.

Witamy ich gorąco i serdecznie wśród nas, jako braci w krwi, jako kolegów, jako towarzyszy walki.

Živela Jugoslavija!

Jesień

W pożółkłych liściach czai się smutek. . . . Morze szumi u stóp, tocząc pianę na grzywach fal aż na piasek plaży. . . . Mgła strzępami wisi na widnokręgu jak wata. . . .

Snują się wspomnienia tamtej jesieni—i tamtych jesieni. Jakież inne, jakież bliższe sercu.

Ogromny las liściasty, cisza dokoła — wielka — ogromna — tajemnicza. Nad głową przemknie od czasu do czasu ptak do swego gniazda. W purpurowych wrzosach kwitnie życie.

Szmer opadających liści mąci wspomnienia. Tamten październik!

Po krwawym wrześniu, znaczącym się łunami płonących domów, morzem krwi przelanej, echem często pojedynczych wystrzałów—przyszedł zdawało by się spokojny październik. Gdzieś jeszcze partyzanckie grupy ścierały się z nieprzyjacielem, gdzieś jeszcze wśród borów, lasów i bagien ktoś walczył.

A potem przyszła cisza, która objęła cały kraj, w martwocie, bezruchu—zastygło wszystko. Szeptano tylko między sobą po wsiach i miastach—Jasiek wyszedł z domu, Paweł poszedł zagranicę, Jasiek nie wrócił.

W domach panował smutek.

Głuche wieści, jakie nadchodziły ze świata—mówiły, że gdzieś we Francji rozsłonecznionej ideałami wolności tworzy się nasze wojsko.

. . . Gdzieś w Niemczech w obozie dla jeńców—wśród świstu bata w niemieckiej katordze spoglądają niebieskie oczy na zachód. Za drutem kolczastym siedzi żołnierz polski—ten z pod Kutna, Częstochowy, Warszawy, Modlina, Lwowa i czeka na znak.

I Polska jak długa i szeroka oczekuje na znak. Przeszedł krwawymi zgłoskami zapisany wrzesień — rozpłynął się — osad jego jednak pozostał na stałe w naszych sercach.

Pierwszy, drugi rok niewoli—pod butem najeźdźców.

. . . Moje stare, kochane miasto, którego zawołanie jest: "Semper Fidelis"—na Łyczakowie cmentarz Orląt i prawie każda kamienica posiekana kulami Tatarów, Szwedów, Kozaków, Ukraińców, Niemców, bolszewików, gdzie każda piędź ziemi nasiąkła tą najlepszą polska krwią, gorącą umiłowaniem Ojczyzny.

Moje miasto. Dalekie. Spowite całunem żałoby.

Leopolis Semper Fidelis—dalekie, zdobne w ruiny Kleparowa, Łyczakowa, Gródka, Bogdanówki, miasto bohaterskie z listopada 1918 i września 1939—moje miasto.

I Stryjski Park pnący się serpentynami ku górze—wyzłocony jesiennym słońcem—spowity babim latem. . . .

I stary Bernardyn. . . .
I Wysoki Zamek. . . .
I Wały Hetmańskie. . . .
I Akademicka. . . .
Katedra Ormiańska. . . .

Spowite w mgle oddalenia żyją we mnie i żyć będą na wieki.

. . . A szept idzie od domu do domu: Nasi walczą—Norwegia, Belgia, Francja, Anglia—walczą, roznosząc po świecie imię dobrego żołnierza.

Wrócą nasi chłopcy—wrócą. Na bagnetach wniosą nam wolność. W szumie stalowych ptaków, szybujących gdzieś na błękitach nieba, w czerwono-białej szachownicy—zaklęty ich znak.

Wrócą nasi—nie jako tułacze—jako zwycięzcy.

. . . tłum stał zwartą masą.

Środkiem ulicy szło wojsko. Zielone mundury, na czapkach srebrne orły. Na karabinach lśni stal bagnetów.

Tłum faluje—padają kwiaty zerwane z polskich pól—na polskich żołnierzy.

Nasi—n a s i.

Nad głowami wysoko słychać warkot motorów. Defilują kluczami. Na skrzydłach nasze znaki. Biało-czerwone szachownice.

N a s i.

Szmer biegnie wzdłuż tłumu,—ulicą ciągnie wojsko—piechota—piechota—artyleria—czołgi. . . .

Miasto tętni życiem—o stropy kościołów bije potężna pieśń—Te Deum Laudamus.

I po lasach biegnie szmer—nasi wrócili—wiatr niesie tę wieść—obija o każde drzewo, o każdy dom—od Bałtyku po Karpaty—od Odry po Dniepr—hen, w siną dal, gdzie tylko biją polskie serca.

Nasi wrócili.

. . . Ileż tych jesieni jeszcze—ile jeszcze dni smutnych w rozłące—ile jeszcze chwil bólu i dręczącej niepewności. Nieprzebrana czara goryczy.

Kto to wszystko policzy; kto zdoła ogarnąć cały ogrom nieszczęścia. Coś wżera się w mózg—coś ściska gardło i serce. . . . Ptaki odlatują na południe, lecz na wiosnę wracają do swych gniazd. A nasze gniazda—daleko, czekają na nasz powrót.

. . . . Pożółkłe liście szeleszczą pod stopami, ogromny, cichy park, a w dali sina linia morza. Głucho jest tutaj i pusto. Nigdzie ludzi. Jakoś obco. Gdzieś huczy morze i drzewa szumią—tylko jakoś inaczej. To nie zielona dal Bałtyku i świerki na piaszczystych wybrzeżach Helu.

Gdzie jesteś człowieku?

Skradziony uśmiech nie prędko wróci na wargi znowu—łzy nie obeschną szybko.

Mleczno-biała, delikatna jak puch nić zaczepiła się o gałęzie drzew. To babie lato. Jesień—królewska, cudna, polska jesień.

Gdzież to.

A morze huczy co raz głośniej i w głosie jego słychać zdaje się jedno i to samo uporczywe słowo—w r ó c i m y.

Zbigniew Szajna Stańkowski

Wojska polskie walczą pod Tobrukiem. Dzięki ich męstwu i poświęceniu, zapisała się w dziejach świata nowa karta Rzeczypospolitej. Karta wielka i chlubna. Jesteśmy sprzymierzeńcami W. Brytanii—i to jej najwierniejszymi sprzymierzeńcami. Dowiedliśmy tego w kraju. Dowodzimy na piaskach Afryki. Na każdym niemal froncie, obok wojsk brytyjskich, walczą wojska polskie. Obecność nasza w Tobruku jest również dowodem słuszności tej myśli wojskowej, która oddawna twierdziła, *iż basen Morza Śródziemnego należy do najważniejszych terenów wojny.* Tam, gdzie w bardzo znacznej mierze rozstrzygają się losy świata, nie powinno braknąć polskich bagnetów—i krew naszych kolegów, która wsiąkła w piaski Libii z pewnością na marne nie pójdzie.

Wojska polskie walczą z Niemcami i z tym rządem faszystowskim, który z Niemcami się sprzymierzył. Jest to naturalne i jest to słuszne. Mussolini gorzko jeszcze pożałuje swych słów "Polonia e liquidata." *Polska "zlikwidowana" nie jest i nie będzie nigdy, natomiast zrobi wszystko, aby pomóc i W. Brytanii i narodowi włoskiemu w zlikwidowaniu rządu, który ten naród doprowadził swą fatalną polityką na sam brzeg przepaści.* O żołnierzach Brygady Karpackiej można to samo powiedzieć, co o żołnierzach Legionów Dąbrowskiego: *walczą oni nie z Italią, ale przeciwnie, walczą o wolność Italii.* "Gli uomini liberi sono fratelli" ("ludzie wolni są braćmi)—głosiły naszywki na mundurach Legionów Dąbrowskiego. To hasło, które przyświecało nam na polach Lombardii—nie straciło nic ze swej aktualności w libijskich piaskach.

Podkreślaliśmy te różnice, jakie zachodzą między nazizmem a faszyzmem. *Nazizm jest emanacją narodu niemieckiego.* Nie tylko ze względu na swe teorie rasowe: mało są one zresztą dzisiaj, w okresie przymierza japońsko-niemieckiego, aktualne w Berlinie. Ale nazizm reprezentuje najlepiej to dobrowolne zjednoczenie wszystkich sił społeczeństwa, aby osiągnąć zasadniczy cel: *panowanie Niemiec nad światem.* Między hasłami Fryderyka Wielkiego, mistyki państwa, polityką Wilhelma II. i linią Hitlera—nie ma różnicy. Jest to stara, odwieczna idea germańska—żelazna pięść, jako najbardziej popularny argument i żelazna dyscyplina, jako środek do osiągnięcia celu. Nazizm przyjął naród niemiecki dobrowolnie, Hitler doszedł do władzy na wskroś legalnie i jest dzisiaj bożyszczem całego społeczeństwa: idea potęgi Niemiec zespoliła i dawnych socjalistów i dawnych komunistów. Dwa lata powodzeń są ciągle jeszcze dalszym ciągiem tego samego entuzjazmu, jakiemu oddawał sie liberalny Reichstag w dniu 1 sierpnia 1914 roku.

Natomiast pomiędzy rządem Mussoliniego a narodem włoskim jest bardzo wielka różnica: społeczeństwo włoskie zawiniło biernością wobec fatalnej polityki towarzyszy Hitlera, ale to wcale nie znaczy, aby wasalstwo wobec Trzeciej Rzeszy entuzjazmowało naród włoski. Przeciwnie, cały przebieg tej wojny świadczy, że między Włochami a ludźmi, którzy

Przegląd polityczny

tymi Włochami rządzą—*jest coraz to bardziej pogłębiająca się przepaść pojęć oraz idei.*

Zwycięstwa angielskie w Libii odezwały się silnym echem w Rzymie. Telegramy z Nowego Jorku donoszą nawet o demonstracjach antyniemieckich w Wiecznym Mieście. Co więcej. Rozdźwięki i niechęci zaznaczają się nawet w sztabie generalnym armii włoskiej, który został całkowicie podporządkowany dowództwu niemieckiemu. Amerykańska korespondentka *Sunday Dispatch* pisze wprost, *że pewne koła włoskie życzą sobie klęski Niemiec w Północnej Afryce.* Wszystko to wskazuje nie tylko na strategiczną, ale również i polityczną słuszność ofensywy brytyjskiej w Libii. *Jeżeli i my przyczynimy się do uwolnienia Włoch od złych gospodarzy, jeżeli dzięki i naszej krwi naród włoski odnajdzie swoje dawne i właściwe posłannictwo w dziejach kultury świata—to tym większa będzie chwała, tym większa zasługa, dzielnej i wiernej Brygady Karpackiej!*

Kampania libijska powinna wzbudzić największe zainteresowanie w Stanach Zjednoczonych. Stwierdziła ona bowiem fakt istnienia bardzo potężnej armii niemieckiej w Afryce. Mimo wszystkich wysiłków floty brytyjskiej—zdołano jednakowoż przetransportować duże siły. Morze, wbrew twierdzeniom Lindbergha, nie jest "nieprzebytą zaporą," o której tak chętnie mówią izolacjoniści w Stanach Zjednoczonych. Niebezpieczeństwo, które grozi Anglii — grozi również Stanom Zjednoczonym. Dywizje niemieckie pod Tobrukiem są poważną przestrogą dla Waszyngtonu. *I dlatego Roosevelt zajmuje Gujanę holenderską, położoną na wprost Dakaru.* Ameryka musi być gotowa na każdą ewentualność, nawet czynnego wystąpienia na lądzie afrykańskim, stanowiącym najbliższe drzwi wiodące do wybrzeży południowo-amery - kańskich.

Odpowiedzią na atak brytyjski w Libii miał być atak niemiecki na Moskwę i Kaukaz. Między walkami pod Rostowem, pod Tułą i pod Tobrukiem jest bardzo ścisła łączność. Powodzenie ofensywy w Rosji musiałoby wpłynąć na zaprzestanie ataku w północnej Afryce, może spowodować przerzucenie części sił brytyjskich z nad granicy Egiptu ku granicom Kaukazu. Niemcy liczyli na to poważnie—i przeliczyli się. Rostow, zajęty przez wojska niemieckie został odebrany przez Rosjan. Walki pod Moskwą są oczywiście bardzo ciężkie, ale jeżeli Niemcy idą na przód, to tylko krok za krokiem. O żadnym "blitzkriegu" nie ma mowy. *A stabilizacja frontu w Rosji lub co gorsze nawet cofanie się tego frontu—jest początkiem nie tylko klęski, ale katastrofy.*

Jakkolwiek podobieństwa między rokiem 1812 a 1941 mogą być dosyć naciągnięte i stanowią raczej doskonały atut w ręku wewnętrznej propagandy sowieckiej—*to jednak zima pod Moskwą i Leningradem nie będzie bynajmniej łatwa do zniesienia przez wojska niemieckie.* Odnosi się wrażenie, że berliński sztab generalny przystosował wszystkie swe plany do akcji błyskawicznej na froncie wschodnim. Wojna miała być, według oficjalnego twierdzenia, skończona w ciągu dziewięciu tygodni. Aby osiągnąć ten cel—poniesiono olbrzymie ofiary, nie licząc się ze stratami ani w ludziach ani w sprzęcie. Zimowy front w Rosji prawdopodobnie nie był brany w rachubę. *Naczelne dowództwo niemieckie będzie musiało ten front improwizować, tak na linii ognia, jak i w etapach, co jest nadzwyczaj trudne.* Miesiące zimowe mogą nam przynieść bardzo a bardzo poważne niespodzianki, zarówno pod względem wojskowym, jak i politycznym.

Zdobycie Moskwy i defilada na Placu Czerwonym miały stanowić wstęp do wielkiej ofensywy pokojowej Hitlera pod hasłem: "Drang nach Osten." Względność w wysuwaniu żądań na Zachodzie, natomiast "prawo niemieckiej przestrzeni" i "porządkowania Europy" na Wschodzie. *Tymczasem zamiast Moskwy zajęty został Rostów*—ale przez Rosjan. Aranżowanie wielkiej komedii pacyfistycznej nie udało się i Ribbentrop odłożył ją do lepszych dni dla armii niemieckiej.

Nie należy się ich spodziewać w najbliższych czasach, ale nie są wcale wykluczone. Niemcy mogą powtórnie zdobyć Rostów, mogą zająć Moskwę. Ale każdy dzień, opóźniający ich pochód jest klęską Hitlera. I nawet ten "olśniewający sukces" w postaci zajęcia stolicy Rosji, sukces, zapowiadany przez propagandę Goebbelsa od dwóch miesięcy—nie będzie wcale ani "decydujący," ani "ostateczny."

Inna rzecz, że ani zwycięstwa brytyjskie i polskie w Libii, ani niewątpliwe dowody odporności armii rosyjskiej — nie są równoznaczne z pewnością, iż niebezpieczeństwo, grożące Europie i światu już minęło. Walka trwa i jakkolwiek szale przechylają się w tej chwili na naszą korzyść—to jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że czekają nas jeszcze chwile bardzo ciężkie. I dlatego pamiętać należy, że wojna ta jest decydująca dla narodu polskiego, że chodzi tu o byt albo niebyt społeczeństwa. Zwycięstwo w walce o naród, w walce o istnienie Rzeczypospolitej—jest najgłówniejszym celem, który musi naprawdę jednoczyć wszystkich Polaków.

W tym okresie, decydującym dla życia narodu hasłem naszym musi być skupienie wszystkich energii narodowych, wszystkich sił prawdziwie twórczych na wspólnym froncie. Mówi się o tym wciąż—chodzi tylko o to, aby słowom wtórowały czyny.

tk

Skrzynka pocztowa

Nasz współpracownik Wiktor Budzyński otrzymał następujący list:
"*Pieką takie łzy na ręce, argentyński kelnerze, mechaniku, barmanie z Łyczakowa. Pieką. Dwa lata to bardzo długo. . . . Mietek z siłą dwuletniej tęsknoty wiódł ukochanymi uliczkami zawsze wiernego miasta płaczącego Argentyńczyka z Łyczakowa.*"

Wielce Czcigodny Panie Wiktorze!

Jesteśmy gdzieś daleko na południu, w Anglii i tam odwalamy wojsko pancerne. Przed kilku dniami pełniłem wartę, w czasie której otrzymałem "Polskę Walczącą" i począłem przerzucać tytuły pisma. W pewnym momencie zatrzymałem się na artykule p.t. "Argentyńczyk z Łyczakowa." Początkowo zamierzałem przerzucić artykuł, by nie być w kolizji z przepisami wartowniczymi, niestety w miarę wczytywania się nie mogłem się oderwać, nie mogłem oprzeć, by artykułu nie dokończyć i bardzo uważnie przeczytać. Pogoda była piękna, południe, ani kropli żadnego opadu, a tu tymczasem ku memu zdziwieniu spostrzegłem, że kartki dziennika są wilgotne a później były całkiem mokre. Dziwna rzecz, deszcz pada z jasnego nieba, a co więcej deszcz przybiera na sile. Coś ścisnęło mnie za serce. Po chwili ocieram ręką jakiś niezwykle swędzący pot z twarzy, wtedy przekonałem się, że to nie był pot, a tylko łzy. Zrozumiałem, że również chodziłem z tymi Pańskimi żołnierzykami po tym kochanym, naszym Lwowie.

Proszę pisać, proszę przenosić nas myślami do tego naszego Lwowa.

Proszę pisać tak, jak dotychczas, tak, by ta lwowska "hebra" pamiętała, że Lwów był i będzie polski.

Artykuł ten czytało bardzo dużo naszych oficerów i żołnierzy i każdy z nas był przejęty.

Kończąc, przesyłam wyrazy czci i poważania. Równocześnie załączam prośbę o dalsze tak piękne artykuły.

Roman Siewiński

P.S. — Historia, którą opisałem istotnie miała miejsce i osobiście ją przeżywałem, nic nie zmyślone.

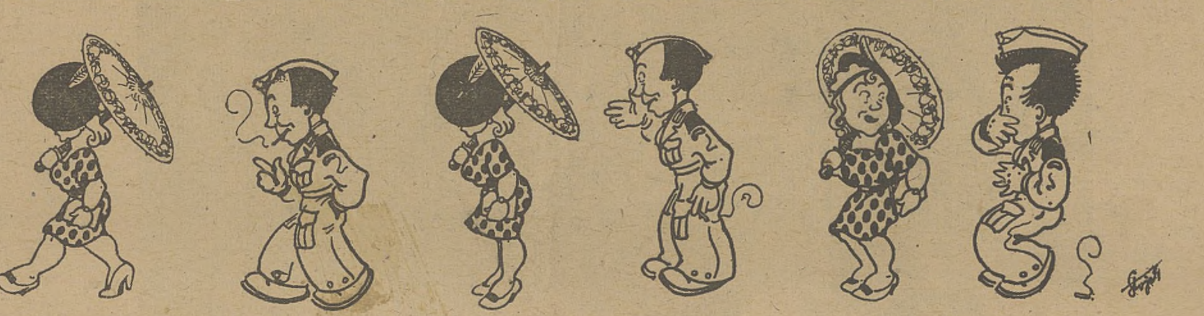
* * *

Polski Czerwony Krzyż
Zarząd Główny
Londyn 10.IX.41.
Redaktor "Polski Walczącej"
w Londynie.

Potwierdzamy odbiór pisma Pana oraz nadesłanych nam sh.15/- ofiarowanych przez p. Laskowskiego Janusza.

Za powyższą przesyłkę uprzejmie dziękujemy i donosimy, że użyjemy jej na pomoc polskim jeńcom wojennym w niewoli niemieckiej.

Dowód pecha oczywisty Felka Czarnobrygadzisty



Widzi Feluś zgrabne dziewczę
Więc nie myśląc wiele,
Postanowił się "przywalić"
I naciera śmiele.

"Stój, poczekaj moja duszko"
Po angielsku nuci . . .
I stanęła, by Felkowi
Dać się zbałamucić.

Lecz kiedy się odwróciła,
Felka aż zatkało,
Jak zobaczył co za cudną
Dziewczę buzię miało.

opowiedział i rysował Józef Stojek

SPIS RZECZY.





WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.